

TERRY PRATCHETT

OPOWIEŚĆ
ZE ŚWIATA
DYSKU

Prószński i S-ka

OSTATNI BOHATER
ILUSTROWAŁ
PAUL KIDBY

Terry Pratchett

Ostatni bohater

Sandrze, Jo, Samowi i Joshowi.

I pamięci Dana...

Paul Kidby 2001

Pamięci

Starego Vincenta

Miejsce, w którym toczy się akcja tej opowieści, jest światem spoczywającym na grzbietach czterech słoni, stojących na skorupie

gigantycznego żółwia. Na tym polega zasadnicza zaleta kosmosu. Jest dostatecznie wielki, żeby pomieścić w sobie praktycznie wszystko. I w końcu zwykle rzeczywiście mieści.

Ludziom wydaje się, że dziwny jest taki żółw długości dziesięciu tysięcy mil czy słoń na ponad dwa tysiące mil wysoki. To tylko dowodzi, że ludzki mózg jest słabo przystosowany do myślenia i prawdopodobnie powstał w celu chłodzenia krwi. Wierzy, że to rozmiar jest zdumiewający.

Tymczasem w rozmiarach nie ma niczego dziwnego. Zdziwiający są żółwie, a słońce niemal oszałamiające. Kiedy jednak człowiek zobaczy już jakiegoś małego, ten wielki jest tylko kwestią skali. Fakt, że istnieje ogromny żółw, jest o wiele mniej dziwny niż fakt, że w ogóle jakiś istnieje.

Przyczyny powstania tej opowieści są liczne i różnorodne. Jest wśród nich pragnienie ludzi, by dokonywać czynów zakazanych, jedynie dlatego że są zakazane. Jest też pęd do odkrywania cudownych nowych horyzontów i do zabijania tych, którzy żyją poza nimi. Są tajemnicze zwoje pism. Jest ogórek. Ale przede wszystkim jest wiedza, że pewnego dnia, całkiem niedługo, wszystko się skończy.

„Trudno, życie płynie dalej” — mawiają ludzie, kiedy ktoś umiera. Ale z punktu widzenia osoby, która właśnie umarła, życie wcale już nie płynie. Akurat kiedy zmarły po latach prób i błędów zaczynał łapać, o co w tym chodzi, nagle traci wszystko z powodu choroby, wypadku lub — w jednym przypadku — ogórka. Dlaczego musi tak być, to jedna z nieodgadnionych tajemnic życia, wobec której ludzie albo zaczynają się modlić, albo naprawdę, ale to naprawdę się złością.

* * *

Początek tej opowieści miał miejsce dziesiątki tysięcy lat temu, pewnej wietrznej, burzliwej nocy, kiedy płomyk ognia zsuwał się z góry w samym środku świata. Poruszał się skokami i szarpnięciami, jak gdyby niosąca go niewidoczna osoba zjeżdżała i spadała z głazu na głaz.

W pewnym momencie linia ognia zmieniła się w fontannę iskier, zakończoną w zaspie na dnie szczeliny. Jednak ze śniegu wysunęła się dłoń ściskająca dymiącą, żarzącą się jeszcze pochodnię. Wiatr, popychany gniewem bogów i mający własne poczucie humoru, rozdmuchał płomień na nowo.

Potem płomień nie zgasł już nigdy.

* * *

Koniec tej opowieści zdarzył się wysoko ponad światem, ale obniżał się coraz bardziej, spływając kręgami ponad starożytne i nowoczesne miasto Ankh-Morpork. Tam, jak głosi legenda, wszystko można kupić i sprzedać — a jeśli nie mają tego, czego człowiek akurat szuka, zawsze mogą to dla niego ukraść.

Niektórzy mogą to nawet wyśnić...

Stworzenie, szukające teraz w dole pewnego konkretnego budynku, było wyszkolonym bezcelowym albatrosem. Według ogólnie przyjętych norm, nie uważano go za zwierzę szczególnie niezwykle[1]. Był za to bezcelowy. Prawie całe życie spędzał w serii leniwych podróży między Krawędzią a Osią, a jaki to może mieć cel?

Ten ptak był mniej więcej oswojony. Jego obłąkane, paciorkowate oko dostrzegło już miejsce, gdzie — z powodów całkowicie dla niego niepojętych — można było znaleźć anchois. I kogoś, kto z pewnością usunie z jego nogi ten niewygodny walec. Albatros uznał to za całkiem niezły układ, z czego łatwo można wywnioskować, że albatrosy są jeśli już nie całkiem bezcelowe, to w każdym razie dość tępe.

Zatem zupełnie niepodobne do ludzi.

* * *

Ludzkość podobno od niepamiętnych czasów śni o lataniu. Istotnie, źródła tych marzeń sięgają przodków człowieka, u których najczęściej występował sen o spadaniu z gałęzi. W każdym razie wśród wielkich snów ludzkości jest też ten o ucieczce przed parą wielkich butów z zębami. I nikt nie twierdzi, że

musi to mieć jakiś sens.

* * *

Trzy pracowite dni później lord Vetinari, Patrycjusz Ankh-Morpork, stał w głównym holu Niewidocznego Uniwersytetu. Był pod wrażeniem. Magowie, kiedy już pojęli wagę problemu, potem zjedli obiad i pokłócili się o deser, potrafili rzeczywiście pracować całkiem szybko.

Ich metodę poszukiwania rozwiązań, w ocenie Patrycjusza, można by zakwalifikować jako kreatywny zgiełk. Jeśli pytanie brzmiało: Jakie jest najlepsze zaklęcie, by zmienić tomik poezji w żabę? — jedyne, czego na pewno nie robili, to nie zaglądali do książki o tytule w stylu „Podstawowe zaklęcia płazie w środowisku literatury pięknej. Zestawienie porównawcze”. W pewien sposób byłoby to nieuczciwe. Klócili się za to, stojąc kręgiem wokół tablicy; wyrywali sobie kredę i zmazywali fragmenty tego, co aktualny posiadacz kredy pisał, zanim jeszcze zdążył skończyć zdanie. Jednakże wszystko to jakoś działało.

W tej chwili pośrodku sali stało coś dziwnego. Wykształconemu humanistycznie Patrycjuszowi przypominało wielkie szkło powiększające w ramie z jakichś śmieci.

— Technicznie rzecz biorąc, wie pan, omniskop może zajrzeć wszędzie — tłumaczył nadrektor Ridcully, technicznie rzecz biorąc, przywódca wszelkiej

znanej magii[2].

— Doprawdy? Zadziwiające.

— W każde miejsce w dowolnym czasie — mówił dalej Ridcully, zapewne w celu spotęgowania wrażenia.

— Jakże to niezwykle użyteczne.

— Wiem, wszyscy to powtarzają. Ale kłopot polega na tym, że ponieważ ta paskudna aparatura może zajrzeć wszędzie, strasznie trudno jest przez nią cokolwiek zobaczyć. W każdym razie cokolwiek wartego oglądania. Zdumiałby się pan, ile jest we wszechświecie różnych miejsc. I czasów też.

— Na przykład dwadzieścia po pierwszej — odpowiedział Vetinari.

— W istocie. Między innymi — zgodził się Ridcully. — Czy zechce pan spojrzeć?

Vetinari zbliżył się ostrożnie i zajrzał w wielkie, okrągłe szkło. Zmarszczył czoło.

— Widzę tylko to, co jest po drugiej stronie — oświadczył.

— Bo jest nastawiony na tu i teraz, panie — wyjaśnił młody mag, który wciąż dostrajał urządzenie.

— Aha. Rozumiem — rzekł Patrycjusz. — Mamy takie w pałacu. Nazywamy je ok-na-mi.

— No... Ale kiedy zrobię o tak... — powiedział mag i przycisnął coś na ramie szkła — ...wtedy patrzy w drugą stronę.

Vetinari spojrzał na własną twarz.

— A takie nazywamy lus-tra-mi — oświadczył, jakby tłumaczył coś dziecku.

— Nie sędzę — sprzeciwił się mag. — Z początku trudno się zorientować, co człowiek właściwie widzi. Pomaga, jeśli się podniesie rękę...

Vetinari zerknął na niego groźnie, ale zaryzykował niewielkie skinienie.

— Och... To ciekawe — przyznał. — Jak się nazywasz, młody człowieku?

— Myślak Stibbons, panie. Nowy kierownik wydziału niewskazanych

zastosowań magii. Widzisz, panie, cała sztuka nie polega na budowie omniskopu, bo to w końcu tylko rozwojowa wersja staroświeckiej kryształowej kuli. Trudno go zmusić, żeby widział to, co chcemy. Przypomina to strojenie struny...

— Przepraszam, jakich zastosowań magii?

— Niewskazanych — odparł natychmiast Myślak w nadziei, że uniknie kłopotu, atakując wprost. — Zdołamy chyba nastroić go na właściwy region. Zużywa sporo energii; może trzeba będzie złożyć w ofierze jeszcze jedną świnkę morską.

Magowie zaczęli zbierać się wokół aparatu.

— Czy można tym zajrzeć w przyszłość? — zainteresował się Vetinari.

— W teorii, owszem, panie. Ale byłoby to wysoce... no niewskazane, rozumiesz, panie, ponieważ wstępne badania sugerują, że sam akt obserwacji prowadzi do kolapsu formy falowej w przestrzeni fazowej...

Na twarzy Patrycjusza nie drgnął nawet mięsień.

— Proszę wybaczyć, ale nie orientuję się w ostatnich zmianach w gronie profesorskim — powiedział. — Czy to pan bierze pigułki z suszonej żaby?

— Nie, panie. To kwestor. Musi je brać, bo jest obłąkany.

— Aha — mruknął. Tym razem jego twarz przybrała jakiś wyraz: wyraz człowieka, który z całą stanowczością nie mówi tego, co ma na myśli.

— Panu Stibbonsowi chodzi o to — wtrącił Ridcully — że są miliardy miliardów przyszłości, które... tego... tak jakby istnieją, rozumie pan. Wszystkie są... możliwymi formami przyszłości. Ale najwidoczniej pierwsza, na którą się popatrzy, jest właśnie tą, która staje się przyszłością naprawdę. A może nie być taką, która się spodoba. O ile mi wiadomo, wszystko to wiąże się z zasadą nieoznaczoności.

— A ona brzmi...?

— Nie jestem pewien. To pan Stibbons zna się na takich sprawach.

Obok przeszedł orangutan, niosący pod każdym ramieniem zadziwiająco dużo książek. Vetinari spojrzał na węże ciągnące się od omniskopu przez otwarte drzwi na trawnik i dalej do... jak to się nazywa? Budynek Magii Wysokich Energii?

Wspomniał dawne dni, kiedy magowie byli chudzi, nerwowi i sprytni. W tamtych czasach nie pozwoliliby, żeby jakaś zasada nieoznaczoności w ogóle na dłuższy czas zaistniała. Jeśli czegoś nie da się wyznaczyć, powiedzieliby, to skąd wiadomo, co człowiek robi źle? Coś, czego człowiek nie jest pewien,

łatwo może go zabić.

Omniskop zamigotał i pokazał śnieżną pustynię z czarnymi górami w oddali. Mag nazywany Myślakiem Stibbonsem wydawał się bardzo z tego zadowolony.

— Mówiłeś chyba, że potrafisz go znaleźć tym czymś — przypomniał mu nadrektor.

Myślak Stibbons uniósł głowę.

— Czy mamy coś, co było jego własnością? Jakiś osobisty drobiazg, który zostawił gdzieś przez zapomnienie? Moglibyśmy to włożyć do rezonatora morficznego, podłączyć całość do omniskopu i namierzyć go bez problemów.

— Co się stało z magicznymi kręgami i kapiącymi świecami? — zainteresował się Patrycjusz.

— Och, używamy ich, kiedy nam się nie spieszy, panie.

— Cohen Barbarzyńca, obawiam się, nie jest znany z zapominania rzeczy. Ciał... być może. Wszystko, co wiemy, to że zmierza do Cori Celesti.

— Tego szczytu w samej osi świata? Po co?

— Miałem nadzieję, że pan mi to powie, panie Stibbons. Dlatego tu jestem.

Bibliotekarz przeszedł znowu, z kolejnym ładunkiem książek. Kolejną typową reakcją magów, postawionych w nowej, niespotykanej dotąd sytuacji, było przejrzanie biblioteki w celu sprawdzenia, czy coś takiego już się kiedyś nie zdarzyło. Vetinari uznał to za cechę zwiększającą szanse przetrwania. W chwilach zagrożenia człowiek cały dzień siedział spokojnie w budynku o bardzo grubych murach.

Raz jeszcze spojrzął na trzymaną w dłoni kartkę papieru. Dlaczego ludzie są tacy głupi?

Jedno zdanie przyciągnęło jego wzrok: „Powiedział, że ostatni bohater powinien zwrócić to, co pierwszy bohater wykradł”.

* * *

Bogowie toczą gry losami ludzi. Nieskomplikowane gry, naturalnie, gdyż bogom brakuje cierpliwości. Oszukiwanie należy do reguł. A bogowie grają na poważnie. Stracić wszystkich wyznawców to dla boga koniec. Ale wyznawca, który przetrwa rozgrywkę, zyskuje uznanie i dodatkową wiarę.

Kto zwycięża z największą liczbą wyznawców, ten żyje.

Wiele rozgrywek toczy się zawsze w Dunmanifestin, siedzibie bogów na szczycie Cori Celesti. Z zewnątrz wygląda ona jak ludne miasto[3]. Nie wszyscy bogowie tam mieszkają, gdyż wielu jest związanych z jakąś konkretną okolicą czy też — w przypadku tych pomniejszych — nawet z konkretnym drzewem. Ale Dunmanifestin jest Dobrym Adresem. To tam bóstwo wiesza metafizyczny odpowiednik wypolerowanej mosiężnej tabliczki — całkiem jak w eleganckich dzielnicach większych miast, na tych niewielkich, dyskretnych budynkach, w których najwyraźniej stale przebywa ze stu pięćdziesięciu prawników czy księgowych, zapewne umieszczonych na jakichś regałach.

Znajomy wygląd miasta brał się stąd, że choć ludzie ulegają boskim wpływom, bogowie ulegają też wpływom ludzkim.

Większość bóstw jest człekokształtna — ogólnie rzecz biorąc, ludzie nie mają zbyt wielkiej wyobraźni. Nawet Offler, bóg krokodyl, ma tylko krokodylą głowę. Jeśli poprosić kogoś, żeby wyobraził sobie zwierzęce bóstwo, zwykle przychodzi mu na myśl ktoś w niegustownej masce. Ludziom o wiele lepiej idzie wymyślanie demonów, które właśnie dlatego są tak liczne.

Bogowie grywali ponad kręgiem świata. I czasem zapominali, co się dzieje, jeśli pozwolić pionkowi dotrzeć na sam szczyt planszy.

* * *

Trochę trwało, nim pogłoski rozeszły się po mieście, ale przywódcy wielkich gildii dwójkami i trójkami zaczęli przybywać na Niewidoczny Uniwersytet. Potem wieści dotarły do ambasadorów. W całym mieście wysokie wieże semaforowe przerwały swe niemające końca zajęcie przekazywania bieżących cen na rynku, wysłały sygnał, by oczyścić linię dla priorytetowej depeszy alarmowej, po czym zamachały znowu, śląc niewielkie pakiety zguby ku kancelariom i zamkom na całym kontynencie.

Były szyfrowane, naturalnie. Jeśli ktoś ma do przekazania informację o końcu świata, nie chciałby, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

Vetinari wpatrywał się w stół. Wiele się zdarzyło w ciągu ostatnich godzin.

— Spróbuję zrekapitulować, panie i panowie — rzekł, gdy ucichł gwar. — Według informacji od władz Hunghung, stolicy Imperium Agatejskiego, cesarz Dżyngis Cohen, wcześniej znany światu jako Cohen Barbarzyńca, jest obecnie w drodze do siedziby bogów, wraz z urządzeniem o znacznej mocy niszczącej oraz z zamiarem, wedle jego własnych słów, „zwrócenia tego, co zostało ukradzione”.

— A co to nas obchodzi? — zdziwił się pan Boggis, szef Gildii Złodziei. — Przecież to nie nasz cesarz.

— Jak się zdaje, agatejski rząd uważa, że jesteśmy w stanie dokonać wszystkiego — wyjaśnił Patrycjusz. — Mamy podejście typu: Hej ho, hej łups, do roboty, załatwione.

— Czego dokonać?

— W tym przypadku: ocalić świat.

— Ale musielibyśmy ocalić go dla wszystkich, zgadza się? — upewnił się Boggis. — Nawet dla cudzoziemców?

— Nie można ocalić tylko tych kawałków, które nam się podobają. Jednak najważniejsza kwestia w ratowaniu świata, panie i panowie, to że ów świat nieodmiennie zawiera w sobie kawałeczek, na którym akurat stoicie. Dlatego bierzmy się do pracy. Czy magia może nam pomóc, nadrektorze?

— Nie — odparł krótko Ridcully. — Nic magicznego nie przebije się na sto mil od gór.

— Dlaczego nie?

— Z tych samych przyczyn, dla których nie można pożeglować łodzią w huragan. Tam jest za dużo magii. Przeciąża wszystko, co magiczne. Latający

dywan rozpruły się w powietrzu.

— Albo zmienił w brokuły — dodał dziekan. — Albo w niewielki tomik poezji.

— Chcecie powiedzieć, że nie dotrzemy tam na czas?

— No... tak. Właśnie. Oczywiście. Oni są już niemal u stóp Góry.

— I są bohaterami — przypomniał pan Betteridge z Gildii Historyków.

Patrycjusz westchnął ciężko.

— A co to oznacza, tak dokładnie?

— Są bardzo dobrzy w osiągnięciu tego, co zamierzyli.

— Ale są też, jak rozumiem, bardzo starymi ludźmi.

— Bardzo starymi bohaterami — poprawił historyk. — To tylko oznacza, że mają bardzo duże doświadczenie w osiągnięciu tego, co zamierzyli.

Vetinari westchnął znowu. Nie podobało mu się życie w świecie z bohaterami. Albo się ma cywilizację, jakakolwiek by była, albo bohaterów.

— A czego właściwie dokonał Cohen Barbarzyńca, co byłoby bohaterskie?
— zapytał. — Staram się tylko zrozumieć...

— No... wiesz, panie... bohaterskich czynów...

— Czyli jakich?

— Walki z potworami, zrzucanie z tronu tyranów, wykradanie bajecznych skarbów, ratowanie dziewczyc... takie rzeczy — tłumaczył dość mętnie pan Betteridge. — Znaczą takie... bohaterskie.

— A kto właściwie określa potworność potwora albo tyranie tyrana? — rzucił Vetinari głosem ostrym nagle niczym skalpel. Nie morderczym jak miecz, ale nacinającym ostrzem czułe miejsca.

Pan Betteridge nerwowo poruszył się na krześle.

— No... sam bohater, jak sądzę.

— Aha. I na dodatek jeszcze kradzież rozmaitych cennych przedmiotów... Słowo, które najbardziej mnie tu interesuje, to określenie „kradzież”, działalność zasługująca na przyganę według większości głównych religii, nieprawdaż? Dręczy mnie uczucie, że wszystkie te terminy definiowane są przez bohatera. On wręcz mówi: Jestem bohaterem, więc jeśli cię zabiję, stajesz się de facto osobą odpowiednią do zabicia przez bohatera. Można więc uznać bohatera za człowieka zaspokajającego wszystkie swoje kaprysy, które pod rządami prawa szybko zaprowadziłyby go za kraty albo zmusiły do tańczenia tego, co znane jest jako „konopne fandango”. Określenia, jakich moglibyśmy tu użyć, to morderstwo, grabież, kradzież i gwałt. Czy dobrze zrozumiałem sytuację?

— Nie gwałt, jak słyszałem — zaprotestował pan Betteridge, rozpaczliwie szukając kamienia, na którym mógłby stanąć. — Nie w przypadku Cohena Barbarzyńcy. Wzięcie przemocą, możliwe.

— A jest jakaś różnica?

— To raczej kwestia podejścia — wyjaśnił historyk. — Nie wydaje mi się, żeby ktoś się skarżył.

— Wypowiem się jako prawnik — rzekł pan Slant z Gildii Prawników. — Jest oczywiste, że pierwszy zarejestrowany czyn bohaterski, o którym wspomina przesłana wiadomość, był aktem kradzieży prawowitym właścicielom. Potwierdzają to legendy wielu różnych kultur.

— Czy to coś, co naprawdę można ukraść? — wtrącił Ridcully.

— W oczywisty sposób tak — zapewnił go pan Slant. — Kradzież jest głównym elementem legendy. Ogień został skradziony bogom.

— W tej chwili nie o tę sprawę nam chodzi — przypomniał Vetinari. — Chodzi nam o to, panowie, że Cohen Barbarzyńca wspina się na szczyt, gdzie żyją bogowie. A my nie potrafimy go zatrzymać. Zamierza zwrócić ogień bogom. Ogień, w tym przypadku, w formie... niech popatrzę...

Myślak Stibbons uniósł głowę znad swoich notatek, w których coś kreślił.

— Pięćdziesięciofuntowej beczułki agatejskiej piorunowej gliny — oznajmił.
— Dziwię się, że ich magowie pozwolili mu ją zabrać.

— Był... właściwie można uznać, że nadal jest cesarzem — wyjaśnił Patrycjusz. — I sądzę, że kiedy najwyższy władca twojego kontynentu o coś prosi, to jeśli jesteś człowiekiem rozsądnym, nie będziesz pytał o formularz podpisany przez pana Jenkinsa z działu magazynowego.

— Piorunowa glina to niezwykle potężna substancja — przyznał Ridcully. — Ale potrzebny jest specjalny zapalnik. Trzeba wewnątrz jej masy rozbić naczynie z kwasem. Kwas wsiąka w glinę i wtedy... łubudu, tak się to chyba określa.

— Niestety, wspomniany tu człowiek rozsądny uznał też za stosowne wręczyć Cohenowi taki zapalnik — stwierdził Vetinari. — A kiedy owo łubudu nastąpi na szczycie góry, która jest osią magicznego pola świata,

nastąpi kolaps owego pola na okres... proszę mi przypomnieć, panie Stibbons.

— Około dwóch lat.

— Doprawdy? No cóż, poradzimy sobie chyba przez kilka lat bez magii — powiedział pan Slant.

— Z całym szacunkiem — wtrącił Myślak, całkiem bez szacunku. — Z całym szacunkiem, nie poradzimy sobie. Morza wyschną. Słońce wypali się i spadnie. Słonie i żółw mogą w ogóle przestać istnieć.

— I to się zdarzy w ciągu zaledwie dwóch lat?

— Ależ nie. W ciągu kilku minut.

Widzi pan, magia to nie tylko kolorowe światełka i kryształowe kule. Magia podtrzymuje nasz świat.

W nagłej ciszy zabrzmiał ostry, wyraźny głos Vetinariego.

— Czy jest tu ktoś, kto wiedziałby cokolwiek o Dżyngisie Cohenie? — zapytał. — I czy jest tu ktoś, kto mógłby nam wytłumaczyć, dlaczego przed

opuszczeniem miasta on i jego ludzie porwali z naszej ambasady minstrela? Materiały wybuchowe, owszem, wyjątkowe barbarzyństwo... ale po co im minstrel? Czy ktoś mógłby mnie oświecić?

* * *

Tak blisko Cori Celesti dmuchał mroźny wiatr. Widziana z tego miejsca Góra Świata — z daleka wyglądająca jak igła — zmieniała się w posępną, szorstką kaskadę coraz wyższych szczytów. Centralna iglica całe mile nad ziemią ginęła w chmurach lodowych kryształków, które skrzyły się w słońcu.

Kilku starych mężczyzn siedziało skulonych przy ognisku.

— Mam nadzieję, że się nie myli z tymi schodami światła — powiedział Mały Willie. — Wyjdziemy na prawdziwych dupków, jeżeli ich tam nie ma.

— Miał rację z olbrzymim morsem — przypomniał Truckle Nieuprzejmy.

— Kiedy?

— Pamiętacie, jak przechodziliśmy po lodzie? Wtedy krzyknął: „Uwaga!

Zaraz zaatakuje nas olbrzymi mors!”.

— Aha.

Willie raz jeszcze obejrzał się na iglicę. Powietrze już tutaj wydawało się rzadsze, kolory głębsze... Miał wrażenie, że starczy wyciągnąć rękę, by dotknąć nieba.

— Ktoś wie, czy na górze jest ubikacja? — zapytał.

— Po mojemu to musi być — uznał Caleb Rozpruwacz. — No, jestem nawet pewny, że o niej słyszeliśmy. Toaleta Bogów.

— Co?

Spojrzeni na coś, co wyglądało jak stos futer na kołach. Kiedy człowiek wiedział, na co patrzy, stos zmieniał się w starożytny wózek inwalidzki umocowany na płozach i okryty strzepami koca i skórami zwierząt. Wyglądała spod nich para błyszczących, drapieżnych oczu.

Z tyłu wózka wisiała przywiązana beczka.

— Chyba czas na jego zupę — stwierdził Mały Willie, umieszczając nad

ogniem czarny od sadzy kociołek.

— Co?

— PODGRZEWAM CI ZUPĘ, HAMISH!

— Znów tyn przekłety mors, co?

— TAK!

— Co?

Byli co do jednego starcami. Ich zwykłe rozmowy składały się z litanii skarg na bolące stopy, brzuchy i grzbiety. Poruszali się wolno. Ale mieli pewien szczególny wygląd, szczególne spojrzenie.

Gdziekolwiek się znaleźli, mówiły ich oczy, już tutaj byli. Cokolwiek to było, już to robili, często więcej niż raz. Tylko nigdy, ale to nigdy nie kupiliby koszulki z nadrukiem. I wiedzieli, co to strach — to coś, co przytrafia się innym.

— Szkoda, że nie ma z nami Starego Vincenta — rzekł Caleb, bez celu rozgrzebując ognisko.

— Ale go nie będzie i koniec — odparł krótko Truckle Nieuprzejmy. — Umawialiśmy się, że za demona nie będziemy o tym gadać.

— Co to za sposób, żeby odejść... Bogowie, mam nadzieję, że mnie coś takiego nie spotka. Coś takiego... nikogo nie powinno spotykać.

— Pewno, racja — zgodził się Truckle.

— Był porządnym facetem. Przyjmował wszystko, czym świat w niego rzucał...

— Racja.

— I żeby udławić się...

— Wszyscy wiemy, jak było! A teraz się lepiej zamknij, do demona!

— Obiad gotowy — burknął Caleb, wyciągając spomiędzy głowni dymiący płat tłuszczu. — Ktoś ma ochotę na dobrze wysmażony stek z morsa? Może Pan Przystojniak?

Spojrzeni wszyscy na wyraźnie ludzką postać opartą o głaz. Była dość niewyraźna z powodu sznurów, jednak dało się zauważyć, że nosi jaskrawą, barwną odzież. To miejsce nie było odpowiednie dla jaskrawej, barwnej odzieży. To była kraina dobra dla futer i skóry.

Mały Willie podszedł do kolorowego zjawiska.

— Zdejmiemy ci knebel — powiedział — jak obiecasz, że nie będziesz wrzeszczał.

Przerażone oczy zerknęły w tę i tamtą stronę, po czym głowa skinęła szybko.

— No dobra. Możesz zjeść swój dobrze wysma... eee... swój kawał morsa — rzekł Mały Willie, wyciągając więźniowi szmatę z ust.

— Jak śmiecie wlec mnie przez... — zaczął minstrel.

— Posłuchaj — przerwał mu Mały Willie. — Nikt z nas nie ma ochoty przyłożyć ci w ucho, kiedy tak gadasz. Prawda? Bądź rozsądny.

— Rozsądny? Kiedy porywa...

Mały Willie wcisnął knebel na miejsce.

— Cienka strużka pustki — mruknął, patrząc prosto w gniewne oczy. — Nie masz nawet harfy. Jaki to bard, co chodzi bez harfy? To tylko takie coś jakby drewniany garnek. Bzdurny pomysł.

— To jest lutnia — wymamrotał Caleb, przeżuując morsa.

— Co?

— TO JEST LUTNIA, HAMISH!

— Jasne, tyż bym komu lutnął.

— Nie, to służy do śpiewania modnych piosenek dla pań — wyjaśnił Caleb.

— O tych, no... o kwiatkach i w ogóle. Do romansów.

Orda знаła to słowo, choć czynności, jakie określało, pozostawały poza zakresem jej doświadczeń.

— Nie uwierzcie, jak piosenki działają na damy — zapewnił Caleb.

— Wiecie, kiedy byłem jeszcze chłopakiem — wtrącił Truckle — kiedy

człowiek chciał zwrócić na siebie uwagę dziewczyny, musiał odciąć jakmutam swojemu najgorszemu wrogowi i dać jej w prezencie.

— Co?

— MÓWIĘ, ŻE MUSIAŁ ODCIĄĆ JAKMUTAM SWOJEMU
NAJGORSZEMU WROGOWI!

— Nu tak, romans to piękna sprawa — zgodził się Hamish.

— A co się robiło, kiedy człowiek nie miał największego wroga? —
zainteresował się Mały Willie.

— Starał się odciąć jakmutam komukolwiek — wyjaśnił Truckle. — I
niedługo miał już najgorszego wroga.

— Dzisiaj używają raczej kwiatów — zadumał się Caleb.

Truckle zerknął na szarpiącego się lutnistę.

— Nie mam pojęcia, po jakie lichy szef kazał wlec ze sobą to dziwactwo —
stwierdził. — A w ogóle to gdzie on jest?

* * *

Mimo swego wykształcenia, Patrycjusz miał umysł mechanika. Kiedy taki człowiek chce coś otworzyć, znajduje odpowiedni punkt i aplikuje minimalną siłę niezbędną do osiągnięcia celu. Czasem ów punkt leżał pomiędzy żebrami, a siłę aplikowało się za pośrednictwem sztyletu, a czasem pomiędzy dwoma walczącymi państwami i wtedy stosowało się armię. Ale najważniejsze było, żeby znaleźć ten słaby punkt, który będzie kluczem do rozwiązania.

— A więc jesteś teraz nieopłacanym profesorem okrutnej i niezwyklej geografii? — zwrócił się do postaci, którą właśnie przyprowadzono.

Mag, znany jako Rincewind, wolno skinął głową, na wypadek gdyby potwierdzenie miało spowodować na niego kłopoty.

— Eee... tak?

— Byłeś w okolicach Osi?

— Eee... tak?

— Czy możesz opisać teren?

— Eee...

— Jaka tam była sceneria — podpowiedział uprzejmie Vetinari.

— Eee... rozmazana. Ścigali mnie jacyś ludzie.

— Doprawdy? A z jakiego powodu?

Rincewind wyraźnie się zdumiał.

— Och, nigdy się nie zatrzymuję, żeby sprawdzić, czemu mnie ścigają. Nigdy też nie oglądam się za siebie. To byłoby raczej niemądre, wie pan.

Vetinari pogłodził grzbiet nosa.

— Powiedz lepiej, co wiesz o Cohenie, jeśli można — poprosił znużony.

— O nim? To zwykły bohater, który nigdy nie zginął. Zasuszony starzec.

Niezbyt inteligentny, ale ma tyle sprytu i chytryści, że trudno to zauważyć.

— Czy jesteś jego przyjacielem?

— Cóż, spotkaliśmy się kilka razy i mnie nie zabił. Można to chyba uznać za „tak”.

— A coś o tych staruszkach, którzy mu towarzyszą?

— To nie są staruszkowie... To znaczy niby tak, są staruszkami... Ale tego... to jego Srebrna Orda.

— Oni są Srebrną Ordą? Całą?

— Zgadza się — potwierdził Rincewind.

— Ale przecież słyszałem, że Srebrna Orda podbiła całe Imperium Agatejskie!

— Tak, proszę pana. To właśnie oni. — Rincewind pokręcił głową. — Wiem, trudno w to uwierzyć, ale nie widział pan, panie, jak oni walczą. Są doświadczeni. I ważniejsza rzecz, właściwie najważniejsza, jeśli chodzi o Cohena... to jest zaraźliwe.

— Chcesz powiedzieć, że roznosi zarazę?

— To jakby choroba psychiczna, proszę pana. Albo magia. On jest zwariowany jak gronostaj, ale... wystarczy, że ludzie trochę z nim pobędą, a zaczynają widzieć świat na jego sposób: cały wielki i bardzo prosty. I chcą być jego częścią.

Vetinari w skupieniu oglądał swoje paznokcie.

— Ale, jak rozumiem, ci ludzie ustatkowali się, byli niewiarygodnie bogaci i potężni — powiedział. — Tego przecież chcą bohaterowie, prawda? Obcasem sandała miażdżyć trony tego świata, jak to określił poeta.

— Tak, proszę pana.

— Więc co to ma być? Ostatni rzut kośćmi? Dlaczego?

— Nie rozumiem tego, proszę pana. Znaczy... mieli przecież wszystko.

— Najwyraźniej — przyznał Patrycjusz. — Ale wszystko okazało się niewystarczające, prawda?

* * *

Jakaś kłótnia wybuchła w przedpokoju obok Podłużnego Gabinetu Patrycjusza. Co kilka minut jakiś urzędnik wślizgiwał się przez boczne drzwi i składał na biurku kolejną stertę papierów.

Vetinari przyglądał się im. Być może, uznał, najlepszym rozwiązaniem byłoby poczekać, aż stos międzynarodowych porad i żądań urośnie tak wysoki, jak Cori Celesti, a potem zwyczajnie wspiąć się na sam czubek.

Hej ho, hej łups, załatwione, pomyślał.

Zatem, jak wypada człowiekowi wyznającemu jakoby dewizę „nie siedź, działaj”, wstał i wziął się do działania. Otworzył tajne drzwiczki ukryte za panelem ściany, a po chwili sunął już bezgłośnie sekretnymi korytarzami zamku.

W pałacowych lochach przebywało kilku złoczyńców czekających na łaskę Patrycjusza. A że Vetinari rzadko miewał łaskawy nastrój, byli tam uwięzieni raczej na długo. Teraz jednak celem wędrówki był najdziwniejszy ze wszystkich więźniów, który mieszkał na strychu.

Leonard z Quirmu nie popełnił nigdy żadnego przestępstwa. Bliźniego swego

traktował z dobrodusznym zaciekawieniem. Był artystą, a także najmądrzejszym człowiekiem pośród żyjących, jeśli słowo „mądry” rozumieć w bardzo specjalistycznym, technicznym sensie. Vetinari jednak sądził, że świat nie jest jeszcze gotów na przyjęcie człowieka, który w ramach hobby projektuje niewyobrażalne maszyny wojenne. Leonard był przede wszystkim artystą — sercem i duszą, we wszystkim co czynił.

W tej chwili malował portret damy, na podstawie serii szkiców, które przypiął obok sztalug.

— To ty, panie? — rzekł, unosząc głowę. — Jaki masz problem?

— A jest jakiś problem? — zdziwił się Vetinari.

— Zwykle jest, kiedy przychodzisz do mnie z wizytą.

— No tak... Chcę wysłać kilka osób do samego środka świata tak szybko, jak to tylko możliwe.

— No cóż, pomiędzy tutaj i tam jest sporo zdradzieckich terenów — stwierdził Leonard. — Jak sądzisz, czy właściwie oddałem uśmiech? Uśmiechy jakoś mi nie wychodzą.

— Powiedziałem...

— Czy chcesz, żeby dotarli żywi?

— Co? No tak. Tak, oczywiście. I szybko.

Leonard malował w milczeniu. Patrycjusz wiedział, że nie należy mu przerywać.

— A czy chciałbyś, żeby wrócili? — spytał artysta po chwili. — Wiesz, może powinienem dodać zęby? Wydaje mi się, że zęby rozumiem.

— Ich powrót byłby miłym elementem, owszem.

— Czy to ważna misja?

— Jeśli się nie powiedzie, nastąpi koniec świata.

— Aha. Zatem raczej ważna. — Leonard odłożył pędzel i cofnął się, krytycznie studiując swoje dzieło. — Będę musiał skorzystać z kilku żaglowców i dużej barki — rzekł po chwili. — Sporządzą ci, panie, listę niezbędnych materiałów.

— Wyprawa morska?

— Na początku, wasza wysokość.

— Czy jesteś pewien, że nie potrzebujesz więcej czasu do namysłu? —
upewnił się Patrycjusz.

— Oczywiście, żeby rozwiązać wszystkie drobne szczegóły. Ale chyba mam
już zasadniczą ideę.

Vetinari uniósł wzrok ku sklepieniu pracowni. Wisiała tam, obracając się
wolno w lekkich podmuchach, cała armada papierowych konstrukcji,
aparatów z nietoperzymi skrzydłami i innych powietrznych niezwykłości.

— Czy ta idea wiąże się z jakąś machiną latającą? — zapytał podejrzliwie.

— Ehm... Dlaczego pytasz, panie?

— Ponieważ cel tej wyprawy znajduje się bardzo wysoko, Leonardzie, a
twoje maszyny latające mają nieodmiennie silną składową dolną.

— Owszem, panie. Ale wierzę, że dostatecznie daleko w dół w końcu staje
się górą.

— Aha. Czy to filozofia?

— Filozofia praktyczna, panie.

— Mimo wszystko nie mogę powstrzymać zdumienia, Leonardzie, że najwyraźniej znalazłeś rozwiązanie, gdy tylko przedstawiłem ci problem.

Leonard z Quirmu wyczyścił pędzel.

— Zawsze powtarzam, panie, że poprawnie sformułowany problem zawiera własne rozwiązanie. Jednakże prawdą jest również, że poświęcałem nieco namysłu kwestiom podobnej natury. Często eksperymentuję z różnymi aparatami... które, posłuszny twojej opinii w tej materii, następnie rozkładam, ponieważ źli ludzie mogliby odnaleźć je przypadkiem i wypaczyć ich zastosowanie. W swej łaskawości przydzieliłeś mi pokój z nieograniczonym widokiem nieba, a ja... patrzę i widzę. Och, jeszcze coś... Będę potrzebował także paru tuzinów smoków bagiennych. Nie, powinno ich być... chyba ponad sto.

— Rozumiem. Zamierzasz zbudować statek, który może wzlecieć w niebo, zaprzężony w smoki? — domyślił się Vetinari z niejasną ulgą. — Przypominam sobie dawną opowieść o statku ciągniętym przez łabędzie. Dotarł aż...

— Obawiam się, że łabędzie raczej nie zadziałają. Ale twoje przypuszczenie

jest w ogólnych zarysach poprawne. Brawo. Sugeruję dwieście smoków, żeby mieć pewien margines.

— Przynajmniej to nie sprawi kłopotów. Ostatnio wszędzie ich pełno.

— Przyda się też pomoc sześćdziesięciu terminatorów i czeladników z Gildii Chytrych Rzemieślników. Może lepiej setkę. Będą musieli pracować przez okrągłą dobę.

— Terminatorów? Mogę dopilnować, żeby najlepsi majstrowie...

Leonard uniósł dłoń.

— Nie majstrowie, panie — rzekł. — Niepotrzebni mi ludzie, którzy poznali już granice tego, co możliwe.

* * *

Orda znalazła Cohena siedzącego przy małym kurhanie grobowym, niedaleko obozowiska. W okolicy było ich wiele. Ordyńcy widywali takie czasami podczas licznych podróży po świecie. Tu i tam wystawał ze śniegu

pradawny głaz z napisem wyrytym w języku, jakiego żaden z nich nie umiał rozpoznać. Były bardzo stare. Nikt z ordyńców nie myślał nawet o rozkopaniu któregoś z nich w celu sprawdzenia, jakie skarby ukrywa w swym wnętrzu. Po części dlatego, że mieli pewne słowo na określenie ludzi używających łopat, a słowo to brzmiało „niewolnik”. Przede wszystkim jednak dlatego, że mimo swego powołania przestrzegali ścisłego kodeksu moralnego — choć nie należał do takich, do których stosuje się ktokolwiek inny. Ten kodeks sprawił, że mieli też odpowiednie słowo dla kogoś, kto narusza spokój kurhanów grobowych. Słowo to brzmiało „giń”.

Orda, złożona w całości z weteranów tysiąca beznadziejnych szarż, ostrożnie jednak zbliżała się do Cohena, który ze skrzyżowanymi nogami siedział na śniegu. Swój miecz wbił głęboko w zaspę. Twarz miał zamyśloną, trochę smutną.

— Przyjdiesz zjeść coś na obiad, stary przyjacielu? — zapytał Caleb.

— Jest mors — uprzedził Mały Willie. — Znowu.

Cohen burknął coś.

— Jeszcze nie skończyłem — powiedział niewyraźnie.

— Czego nie skończyłeś, stary przyjacielu?

— Wspominacz.

— Kogo wspominać?

— Tego bohatera, czo jeszt tu pochowany.

— Kim był?

— Nie wiem.

— Z jakiego ludu pochodził?

— Nie mam pojęcia.

— Czy dokonał jakichś wielkich czynów?

— Trudno powiedzieć.

— Więc czemu...

— Ktosz muszy powszpominacz tego biednego drania — wyjaśnił Cohen.

— Przecież nic o nim nie wiesz!

— Ale i tak mogę go wszpominacz.

Ordyńcy porozumieli się wzrokiem. Ta przygoda będzie chyba trudna.

Całe szczęście, że ma też być ostatnia.

— Lepiej wróć i zamień parę słów z tym bardem, co go pojmalim — rzekł Caleb. — Po mojemu to on chyba nie rozumie, co ma do roboty.

— Ma tylko po wszystkim napiszacz szagę — stwierdził Cohen stanowczo, choć nieco mlaszcząc. Coś przyszło mu do głowy. Zaczął poklepywać się po różnych fragmentach odzieży, co biorąc pod uwagę jej małą obfitość, nie trwało długo.

— Niby tak, ale widzisz, to nie jest taki typowy bard od sag bohaterskich — tłumaczył Caleb, obserwując poszukiwania przywódcy. — Uprzedzałem, że się nie nada, już jak go złapalim. To raczej taka odmiana barda, co się przyda, jak chcesz balladę zaśpiewać panience. Łapiesz, szefie? Mówim tu o kwiatkach i wiośnie.

— Aha, tu są — ucieszył się Cohen. Z sakiewki u pasa wyjął dwie protezy wyrzeźbione z diamentowych zębów trolli. Wsunął je do ust i zagryzł kilka razy. — Już lepiej. Co mówiłeś?

— On nie jest prawdziwym bardem, szefie.

Cohen wzruszył ramionami.

— No to będzie musiał szybko się nauczyć. I tak jest chyba lepszy od tych z imperium. Tamci nie mają pojęcia o poematach dłuższych niż siedemnaście sylab. Ten przynajmniej jest z Ankh -Morpork. Musiał słyszeć o sagach.

— Mówiłem, że powinniśmy się zatrzymać nad Zatoką Wielorybów — wtrącił Truckle. — Lodowe pustkowia, mroźne noce... Dobre miejsce na sagi.

— Pewno. Jak ktoś lubi tran. — Cohen wyjął miecz z zaspy. — Może lepiej pójdę tam i jakoś odwrócę jego myśli od kwiatków.

* * *

— Można zaobserwować, że rzeczy obracają się wokół Dysku — stwierdził Leonard. — To pewne w przypadku słońca i księżyca. A także, jeśli sobie przypominacie... „Marii Pesto”?

— Tego statku, który podobno spłynął pod Dysk? — przypomniał sobie nadrektor Ridcully.

— Otóż to. Wiadomo, że został zdmuchnięty poza Krawędź w pobliżu Zatoki Mante podczas straszliwego sztormu. Kilka dni później rybacy widzieli, jak wznosi się ponad Krawędzią niedaleko TinLing, gdzie zresztą rozbił się na rafie. Przeżył tylko jeden marynarz, którego ostatnie słowa były... dość dziwne.

— Pamiętam — ucieszył się Ridcully. — Powiedział: „Mój boże, jest pełne słońce”.

— Uważam zatem, że przy odpowiednim pchnięciu i składowej bocznej pojazd wysłany za brzeg świata przemknie dołem, napędzany potężnym przyciąganiem, i wzleci po drugiej stronie — tłumaczył Leonard. — Prawdopodobnie na wysokość dostateczną, by pozwolić na poszybowanie w dół w dowolne miejsce na powierzchni.

Magowie spojrzeli na tablicę. Potem, jak jeden mag, zwrócili wzrok w stronę Myślaka Stibbonsa, który bazgrał coś w swoim notesie.

— O co w tym chodzi, Myślak?

Myślak popatrzył na swoje notatki. Potem popatrzył na Leonarda. A potem popatrzył na Ridcully'ego.

— Eee... tak. Możliwe. Eee... Gdyby wypaść za Krawędź wystarczająco szybko, świat... ściąga z powrotem, więc spada się dalej, tylko że dookoła.

— Chcesz powiedzieć, że spadając ze świata, możemy... a mówiąc „możemy”, chcę tu zaznaczyć, nie mam na myśli siebie... możemy skończyć na niebie?

— Hm... No tak. W końcu słońce robi to codziennie.

Dziekan wydawał się zachwycony.

— Niesamowite — powiedział. — Przecież... można w taki sposób całą armię przerzucić do samego serca wrogiego terytorium! Żadna twierdza nie będzie bezpieczna! Można spuścić ogień na...

Pochwycił spojrzenie Leonarda.

— ...na złych ludzi — dokończył niepewnie.

— To się nie zdarzy! — oświadczył surowo Leonard. — Nigdy.

— Czy to... ta rzecz, którą planujesz, może wylądować na Cori Celesti? — upewnił się Patrycjusz.

— Och, z pewnością znajdą się tam odpowiednie śnieżne równiny — potwierdził Leonard. — Jeżeli nie, na pewno uda mi się zaprojektować rozsądny system lądowania. Na szczęście, jak to zauważyłeś, panie, rzeczy w powietrzu zdradzają tendencję do spadania w dół.

Ridcully chciał już wygłosić jakiś komentarz, ale się powstrzymał. Znał reputację Leonarda. Był to człowiek, który potrafił przed śniadaniem dokonać siedmiu wynalazków, w tym dwóch nowych sposobów przygotowania grzanki. Ten człowiek wynalazł łożysko kulkowe, urządzenie tak oczywiste, że nikt inny o nim nie pomyślał. Na tym właśnie polegał jego geniusz — wymyślał rzeczy, na które każdy mógłby wpaść, a ludzie wymyślający rzeczy, na które każdy mógłby wpaść, są doprawdy niezwykli.

Ten człowiek był tak odruchowo sprytny, że malował obrazy, które nie tylko śledziły patrzącego wzrokiem po pokoju, ale szły za nim do domu i robiły pranie.

Niektórzy są pewni siebie, ponieważ są głupcami. Leonard wyglądał na kogoś, kto jest pewien siebie, ponieważ nigdy jeszcze nie znalazł powodu, by nie być. Byłby zdolny skoczyć z wysokiego budynku w radosnym stanie umysłu człowieka, który zamierza rozwiązać problem gruntu wtedy, kiedy się pojawi.

I rzeczywiście może go rozwiązać.

— Czego pan od nas potrzebuje? — zapytał krótko Ridcully.

— No cóż, ten... ta rzecz nie może działać magicznie. Jak rozumiem, w pobliżu Osi nie można polegać na magii. Ale możecie dostarczyć mi wiatru?

— Jestem przekonany, że zwracasz się do właściwych ludzi — stwierdził Vetinari. Magom wydało się, że zrobił odrobinę zbyt długą pauzę, nim podjął: — Doskonale opanowali manipulacje pogodą.

— Solidny szkwał bardzo by pomógł przy starcie — stwierdził Leonard.

— Sądzę, że nie obawiając się zaprzeczenia, mogę zapewnić, iż nasi magowie potrafią zagwarantować wiatr w ilościach praktycznie nieograniczonych. Czy nie tak, nadrektorze?

— Jestem zmuszony się z panem zgodzić.

— Jeśli zatem możemy polegać na mocnym sprzyjającym wietrze, to...

— Chwileczkę — przerwał dziekan, który miał uczucie, że komentarz o

wiatrach był adresowany do niego. — Co właściwie wiemy o tym człowieku? Buduje... różne urządzenia i maluje obrazy, tak? No więc to bardzo miło z jego strony, ale wszyscy przecież znamy artystów, prawda? Nierozważni szaleńcy, co do jednego. A co powiecie na Bezdennie Głupiego Johnsona[4]? Pamiętacie parę jego konstrukcji? Jestem pewien, że pan da Quirm maluje śliczne obrazki, ale ja na przykład potrzebuję trochę więcej dowodów jego zadziwiającego geniuszu, nim powierzę losy świata jego... aparatowi. Pokażcie mi choć jedną rzecz, którą potrafi, a jakiej nie mógłby dokonać ktokolwiek, gdyby tylko miał wolną chwilę.

— Nigdy nie uważałem się za geniusza — zapewnił Leonard, spuszczając skromnie głowę i bazgrząc coś na leżącej przed nim kartce.

— No więc gdybym to ja był geniuszem, raczej bym o tym wiedział... — zaczął dziekan i urwał nagle.

Z roztargnieniem, prawie nie zwracając uwagi na to, co robi, Leonard wykreślił idealny okrąg.

Patrycjusz Vetinari za najlepsze rozwiązanie uznał sformowanie systemu komitetów. Coraz więcej ambasadorów obcych państw przybywało na Niewidoczny Uniwersytet, zjawiali się też szefowie kolejnych gildii. Każdy z nich chciał się włączyć w proces podejmowania decyzji, jednak niekoniecznie przechodząc najpierw przez proces używania inteligencji.

Jakieś siedem komitetów, uznał, to mniej więcej właściwa liczba. A kiedy po dziesięciu minutach wypączkował magicznie pierwszy podkomitet, Vetinari zabrał kilka wybranych osób do niewielkiego pokoiku, powołał Komitet do spraw Rozmaitych i zamknął drzwi na klucz.

— Latający statek, jak mnie zapewniono, potrzebuje załogi — oznajmił. — Może zabrać trzy osoby. Leonard musi lecieć, ponieważ, szczerze mówiąc, będzie pracował nad nim nawet po starcie. Co z pozostałą dwójką?

— Powinien się tam znaleźć skrytobójca — powiedział lord Downey z Gildii Skrytobójców.

— Nie. Gdyby można było skrycie zamordować Cohena i jego przyjaciół, od dawna byłiby już martwi — odparł Vetinari.

— Może więc kobiecie podejście? — zaproponowała pani Palm, przewodnicząca Gildii Szwaczek. — Wiem, że to raczej wiekowi dżentelmeni, ale moje członkinie są...

— Jak mi się zdaje, pani Palm, problem polega na tym, że choć Srebrna Orda podobno bardzo ceni towarzystwo kobiet, jednak nie słucha niczego, co owe kobiety mówią. Tak, kapitanie Marchewa?

Kapitan Marchewa Żelaznywładsson ze straży miejskiej stał na baczność, emanując gorliwością i lekkim zapachem mydła.

— Zgłaszam się na ochotnika, sir! — rzekł.

— Tak myślałem, że pewnie się pan zgłosi.

— Czy to rzeczywiście sprawa dla straży? — spytał prawnik, pan Slant. — Pan Cohen zamierza tylko zwrócić skradzioną własność jej prawowitym właścicielom.

— Jest to pogląd, jaki do tej chwili nie przyszedł mi na myśl — przyznał gładko Vetinari. — Jednakże strażnicy nie byliby ludźmi, za jakich ich uważam, gdyby nie potrafili znaleźć powodu, by aresztować kogokolwiek. Komendancie Vimes?

— Spisek w celu zakłócenia spokoju powinien wystarczyć — odparł dowódca straży, zapalając cygaro.

— A kapitan Marchewa jest bardzo przekonującym młodym człowiekiem — dodał Vetinari.

— Z wielkim mieczem — wymamrotał pan Slant.

— Perswazja przybiera różne formy. Nie, zgadzam się z nadrektorem Ridcullym, że posłanie kapitana Marchewy to znakomity pomysł.

— Co? — zdziwił się Ridcully. — Czy ja coś mówiłem?

— Czy sądzi pan, że wysłanie kapitana Marchewy to znakomity pomysł?

— Co? Aha. Tak. Dobry chłopak. Gorliwy. Ma miecz.

— Zgadzam się z panem — odparł Patrycjusz. Umiał kierować komitetami.

— Musimy się spieszyć, panowie. Flotylla powinna jutro wypłynąć.

Potrzebny nam jeszcze trzeci członek załogi...

Ktoś zastukał do drzwi. Vetinari skinął na woźnego uniwersyteckiego, żeby otworzył.

Mag, znany jako Rincewind, wkroczył do pokoju. Podeszedł błady i zatrzymał się obok stołu.

— Nie chcę zgłaszać się na ochotnika do tej misji — oznajmił.

— Przepraszam? — nie zrozumiał Vetinari.

— Nie chcę się zgłaszać na ochotnika.

— Nikt o to nie prosił.

Ridcully ze znużeniem pogroził mu palcem.

— Ale poproszą, na pewno. Ktoś powie: Zaraz, Rincewind miał przygody, zna Srebrną Ordę, wie wszystko o okrutnej i niezwyklej geografii, świetnie się nadaje na wyprawę. — Westchnął ciężko. — Potem ja ucieknę i schowam się w jakiejś skrzyni, którą i tak załadują na ten latający statek. Albo nastąpi cały łańcuch przypadków, które doprowadzą do tego samego. Może mi pan wierzyć. Wiem, jak funkcjonuje moje życie. Dlatego pomyślałem, że pomnę wszystkie te działania i od razu powiem, że nie chcę się zgłaszać na ochotnika.

— Mam wrażenie, że pominąłeś któryś z logicznych kroków — zauważył Patrycjusz.

— Nie, proszę pana. To bardzo proste. Zgłaszam się na ochotnika. Po prostu tego nie chcę. Ale w końcu czy to kiedykolwiek miało znaczenie?

— Coś w tym jest, wiecie... — wtrącił Ridcully. — On zawsze wraca cało z najróżniejszych...

— Widzicie? — Rincewind rzucił Vetinariemu smętny uśmiech. — Przeżywam swoje życie już bardzo długo. Wiem, jak to działa.

* * *

W pobliżu Osi zawsze grasowali rabusie. Różne bogactwa można było znaleźć w zagubionych dolinach i zakazanych świątyniach, a także u słabiej przygotowanych wędrowców. Zbyt wielu ludzi, wymieniając wszystkie niebezpieczeństwa czyhające na poszukiwacza zaginionego skarbu albo starożytnej mądrości, zapominało umieścić na szczycie listy „człowieka, który przybył chwilę wcześniej lub później”.

Jedna z grup rabusiów patrolowała swoją ulubioną okolicę, kiedy odkryła najpierw pięknie osiodłanego rumaka bojowego przywiązanego do oszronionego drzewa. Potem zobaczyli ognisko płonące w niewielkim zagłębieniu, osłaniającym je od wiatru. W końcu zauważyli kobietę.

Była atrakcyjna — może nie w tej chwili, ale jakieś trzydzieści lat temu. Teraz przypominała nauczycielkę, jaką człowiek chciałby mieć w pierwszej klasie; pełną zrozumienia dla drobnych życiowych incydentów, takich jak na przykład but, do którego ktoś nasiusiał.

Siedziała otulona kocem, dla ochrony przed zimnem. Robiła na drutach. Obok, wbity w śnieg, tkwił największy miecz, jaki złodzieje w życiu widzieli.

Inteligentni rabusie zaczęliby liczyć elementy niepasujące do obrazka. Ci jednak należeli do innego typu — typu, dla którego wynaleziono ewolucję.

Kobieta uniosła głowę, skinęła im, po czym wróciła do robótki.

— No, no, co my tu mamy? — odezwał się herszt. — Czy...

— Przytrzymaj to, młody człowieku, dobrze? — poprosiła kobieta, wstając.

— Wystaw kciuki. To potrwa tylko chwilę. Muszę zwinąć nowy kłębek.

Miałam właśnie nadzieję, że ktoś się zjawi...

Podniosła motek wełny. Rabuś wziął go niepewnie, świadom złośliwych uśmieszków na twarzach kompanów. Wyciągnął jednak ręce z miną, która — miał nadzieję — dostatecznie groźnie wyrażała zdanie: „Biedaczka niczego nie podejrzewa”.

— Tak dobrze — stwierdziła staruszka i cofnęła się o krok. Kopnęła herszta mocno w krocze, metodą niezwykle skuteczną, choć niezbyt uchodzącą damie. Gdy padał, schyliła się błyskawicznie, złapała kociołek, rzuciła nim celnie w twarz pierwszego zbója i zanim zdążył upaść, podniosła swoją robótkę.

Dwaj ocalali bandyci nie zdążyli jeszcze zareagować. Teraz wreszcie jeden z nich przełamał bezruch i skoczył po miecz. Zachwiał się pod jego ciężarem, jednak klinga była długa i dodawała odwagi.

— Aha! — zawołał i stęknął, unosząc broń. — Jak, u demona, mogłaś to nosić, starucho?

— To nie jest mój miecz — wyjaśniła kobieta. — Należał do tego człowieka, o tam.

Bandyta zaryzykował rzut oka. Para stóp w pancernych sandałach wystawała odrobinę zza skały. Były to bardzo duże stopy.

Ale mam broń, uznał zbój. A po chwili pomyślał jeszcze: On też miał.

Staruszka westchnęła i wyjęła z kłęбка wełny dwa druty. Na ich czubkach błysnęło światło.

— No więc, panowie? — powiedziała.

Cohen wyjął minstrelowi knebel. Młody człowiek patrzył na niego ze zgrozą.

— Jak masz na imię, synu?

— Porwaliście mnie! Szedłem sobie ulicą i...

— Ile? — przerwał mu Cohen.

— Co?

— Ile chcesz za napisanie mi sagi?

— Pan śmierdzi!

— Tak, to przez tego morsa — przyznał spokojnie Cohen. — Trochę przypomina czosnek pod tym względem. W każdym razie... potrzebuję sagi. A ty potrzebujesz dużej sakiewki rubinów, niezbyt różniących się rozmiarami od tych, które mam tutaj.

Wysypał na dłoń zawartość skórzanego mieszka. Kamienie były tak wielkie, że aż śnieg załśnił czerwienią. Muzyk przyglądał się oszołomiony.

— Ty masz... jak to się nazywa, Truckle?

— Talent — odpowiedział Truckle.

— Ty masz talent, a my mamy rubiny. My dajemy ci rubiny, a ty dajesz nam

swój talent — tłumaczył Cohen. — I po kłopotcie. Jasne?

— Kłopotcie? — Klejnoty hipnotycznie przyciągały wzrok.

— No, chodzi o kłopot, jaki będziesz miał, o ile nie napiszesz dla mnie sagi
— mówił Cohen, wciąż bardzo uprzejmie.

— Hm, bardzo mi przykro, ale... sagi to tylko prymitywne poematy, zgadza się?

Wiatr, nigdy niecichnący tak blisko Osi, miał kilka sekund, by wydać swój najbardziej żałosny, ale i złowróżbny świst.

— Długa stąd droga do cywilizacji, piechotą i samotnie — rzekł Truckle.

— Bez stóp — dodał Mały Willie.

— Błagam!

— Nie, chłopaki, przecież nie chcemy temu młodziakowi robić krzywdy —
uspokoił ich Cohen. — To zdolny chłopiec, ma przed sobą świetną
przyszłość... — Zaciągnął się skręconym własnoręcznie papierosem. —
Przynajmniej miał do tej chwili. No, widzę, że się zastanawia. Bohaterska

saga, mój mały. Będzie najsławniejsza na świecie.

— A o czym?

— O nas.

— O was? Przecież wszyscy jesteście sta...

Minstrel urwał nagle. Chociaż jak dotąd nie napotkał w życiu większych niebezpieczeństw niż kość ciśnięta w niego podczas bankietu, potrafił rozpoznać groźbę nagłej śmierci. I teraz ją zobaczył. Wiek tych ludzi nie osłabił... no, może w jednym czy drugim miejscu. Raczej utwardził.

— Nie mam pojęcia, jak się komponuje sagę — bronił się słabo.

— Pomożemy — obiecał Truckle.

— Dużo ich znamy — zapewnił Mały Willie.

— Byliśmy prawie we wszystkich — dodał Cohen.

Myśli minstrela biegły mniej więcej takim torem: Ci ludzie są rubiny obłąkani. Mogą rubiny mnie zabić. Rubiny. Zaciągnęli mnie rubiny całą rubiny rubiny.

Chcą mi dać dużą sakiewkę rubiny rubinów.

— Mógłbym chyba poszerzyć swój repertuar — wymamrotał. Wyraz ich twarzy skłonił go do pewnych zmian słownictwa. — No dobrze, zrobię to — rzekł. Maleńki okruch uczciwości przetrwał jednak nawet w blasku klejnotów. — Ale wiecie, nie jestem największym minstrelem świata.

— Będiesz, kiedy już napiszesz tę sagę — obiecał Cohen.

— No... mam nadzieję, że się wam spodoba.

Cohen znów się uśmiechnął.

— To nie nam ma się podobać. My jej nie usłyszymy.

— Co? Ale przecież mówił pan, że mam wam napisać sagę...

— Tak, zgadza się. Ale to będzie saga o tym, jak zginęliśmy.

* * *

Niewielka flotylla wypłynęła rankiem następnego dnia z Ankh -Morpork. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Nie dlatego, że perspektywa końca świata jakoś szczególnie koncentrowała na sobie myśli zaangażowanych osób, gdyż jest to zagrożenie ogólne i uniwersalne, które ludziom trudno sobie wyobrazić. Patrycjusz jednak był człowiekiem surowym, a to zagrożenie było bardzo szczególne i osobiste, więc ludzie wyobrażali je sobie bez żadnego kłopotu.

Barka, na której coś już nabierało kształtu pod wielkim brezentowym zadaszeniem, kołysała się między statkami. Vetinari wszedł na pokład tylko raz — i spojrzał posępnie na zawalające pokład stosy materiałów.

— To wszystko kosztuje nas znaczne sumy — oświadczył Leonardowi, który ustawił sztalugi. — Mam nadzieję, że za to będziemy mieli się czym pochwalić.

— Może przetrwaniem gatunku? — zaproponował Leonard, kończąc skomplikowany rysunek i wręczając go jednemu z uczniów. — Poznamy także wiele nowych rzeczy, co do których jestem przekonany, że będą miały ogromne znaczenie dla potomności. Na przykład ocalały z „Marii Pesto” opowiadał, że przedmioty unosiły się w powietrzu, jak gdyby nagle stały się niezwykle lekkie. Dlatego zaprojektowałem coś takiego.

Schylił się i podniósł coś, co Patrycjuszowi wydało się całkiem zwyczajnym kuchennym utensylium.

— To patelnia, która przyczepia się do wszystkiego — wyjaśnił z dumą wynalazca. — Wpadłem na ten pomysł, obserwując pewną odmianę ostu, która...

— I to będzie użyteczne?

— Bardzo. Musimy przecież jeść posiłki i nie chcemy, żeby w powietrzu unosił się gorący tłuszcz. Takie drobiazgi mają znaczenie, panie. Wynalazłem także pióro, którym można pisać do góry nogami.

— Hm... A czy nie da się po prostu odwrócić kartki?

* * *

Karawana przesuwała się wolno po śniegu.

— Okropnie zimno — poskarżył się Caleb.

— Czujesz swoje lata, co? — domyślił się Mały Willie.

— Mężczyzna ma tyle lat, na ile się czuje. Zawsze to powtarzałem.

— Co?

— MÓWI, ŻE MASZ TYLE LAT, NA ILE SIĘ CZUJESZ, HAMISH!

— Co? Czuję co?

— Nie wydaje mi się, żebym się postarzał — stwierdził Mały Willie. — Tak naprawdę postarzał. Tyle że staram się pilnować, gdzie jest następny wychodek.

— Najgorsze — wtrącił Truckle — to kiedy przychodzą różni młodzi i śpiewają ci wesołe piosenki.

— Z czego oni w ogóle tak się cieszą? — mruknął Caleb.

— Pewnie z tego, że nie są tobą.

Drobne, ostre śnieżne kryształki, niesione wiatrem ze szczytów, z sykiem przelatwały nad równiną. Z szacunku dla swej profesji ordyńcy nosili głównie niewielkie skórzane przepaski z kawałków futra oraz kolczugi. Z szacunku dla swego zaawansowanego wieku — i bez żadnych uwag na ten temat — pod tym wszystkim mieli na sobie długą wełnianą bieliznę i różne dziwne elementy na gumkach. Radzili sobie z Czasem tak, jak z prawie wszystkim w życiu — jak z czymś, co się atakuje i próbuje zabić.

Na czele grupy Cohen udzielał minstrelowi pewnych wskazówek.

— Przede wszystkim musisz opisać, co czujesz wobec tej sagi — tłumaczył.
— Jak to śpiew sprawia, że krew szybciej ci krąży, że prawie nie możesz się opanować... Musisz im powiedzieć, jaka to będzie wspaniała saga. Rozumiesz?

— Tak, tak... chyba. A potem mam opowiedzieć, kim jesteście... — Minstrel notował pilnie.

— Nie. Potem musisz opowiedzieć, jaka była pogoda.

— Znaczy, coś w stylu „Był piękny dzień”?

— Nie, nie, nie. Masz mówić po sagowemu. Zacznijmy od tego, że trzeba

układać zdania na odwrót.

— Na przykład „Dzień piękny był”?

— Dobrze! Świetnie! Wiedziałem, że sprytny z ciebie chłopak.

— Chłopak z ciebie sprytny, chciał pan powiedzieć — poprawił go minstrel, nim zdążył się powstrzymać.

Nastąpił moment przerażającej niepewności, po czym Cohen z rozmachem klepnął go w ramię. Wrażenie było takie, jakby uderzył łopata.

— To jest styl! Co jeszcze, zaraz... Aha, już mam. Nikt w sagach niczego nie mówi. Zawsze rzecze.

— Rzecze?

— Jak „I rzekł Wulf, Morski Włóczęga”, rozumiesz? I... i... i... Ludzie zawsze są czymś. Jak ja. Jestem Cohen Barbarzyńca, tak? Ale mogę też być Cohenem Mężnym Sercem, albo Cohenem Zabójcą Legionów, albo czymkolwiek tej klasy.

— Eee... ale dlaczego to robicie? — zapytał minstrel. — Powinienem to

chyba włączyć. Chcecie oddać bogom ogień?

— Tak. Z odsetkami.

— Ale... dlaczego?

— Bo widzielim, jak umiera wielu przyjaciół — rzekł Caleb.

— Właśnie — zgodził się Mały Willie. — A nie zauważyliśmy żadnych wielkich bab na fruwających koniach, co przylatują i zabierają ich do Hal Bohaterów.

— Kiedy umarł Stary Vincent, a był przecie jednym z nas, gdzie był Most Szronu, żeby przeszedł po nim na Ucztę Bogów, co? Nie, dorwali go, rozmiękczyli wygodnymi łózkami i tym, że ktoś przeżuwał za niego jedzenie. O mało co wszystkich by nas dorwali.

— Ha! Mleczne napoje! — Truckle splunął.

— Co? — Hamish obudził się z drzemki.

— PYTAŁ, DLACZEGO CHCEMY ZWRÓCIĆ BOGOM OGIEŃ,
HAMISH!

— He, he! Ktoś to musi zrobić! — zarechotał Hamish.

— Bo to wielki świat, a nie widzieliśmy go całego — stwierdził Mały Willie.

— Bo dranie są nieśmiertelni — dodał Caleb.

— Bo łupie mnie w krzyżu w zimne noce — poskarżył się Truckle.

Minstrel zerknął na Cohena, który stał wpatrzony w ziemię.

— Bo... — zaczął Cohen. — Bo pozwolili nam się zestarzeć.

W tej właśnie chwili zatrzasnęła się pułapka. W erupcjach śnieżnych zasp wielkie postacie ruszyły biegiem na Srebrną Orde. Miecze znalazły się w poplamionych dłoniach z szybkością wynikającą z doświadczenia. Wzniesiono maczugi...

— Stać wszyscy! — krzyknął Cohen głosem nawykłym do rozkazywania.

Walczący znieruchomieli. Klingi drżały lekko o cal od gardeł i piersi.

Cohen spojrzał w górę na splekanego, pooranego szczelinami gigantycznego trolla, który stał z uniesioną maczugą, gotów go zmiażdżyć.

— Czy my się nie znamy? — zapytał.

* * *

Magowie pracowali na zmiany. Spory obszar morza przed flotyllą był gładki jak staw, z tyłu dmuchała równa, stała bryza. Magowie dobrze się znali na wietrze, gdyż pogoda nie jest kwestią mocy, ale lepidopterii. Jak to ujął nadrektor Ridcully, trzeba wiedzieć, gdzie są te przeklęte motyle.

Zatem to szansa jedna na milion musiała pchnąć pod baręk przesiąkniętą wodą belkę. Wstrząs był niewielki, ale Myślak Stibbons, który właśnie ostrożnie przetaczał po pokładzie omniskop, wylądował na plecach, otoczony błyszczącymi odłamkami.

Ridcully wybiegł na pokład.

— Coś się dzieje? To kosztowało sto tysięcy dolarów, panie Stibbons! Proszę tylko spojrzeć! Dziesiątki odłamków!

— Nic mi się nie stało, nadrektorze...

— Setki godzin pracy poszły na marne! A teraz nie będziemy mogli obserwować przebiegu lotu! Czy pan mnie słucha, panie Stibbons?

Myślak nie słuchał. Trzymał dwa kawałki omniskopu i wpatrywał się w nie z uwagą.

— Wydaje się, że wpadłem, ha, wpadłem... na pewien znakomity pomysł, nadrektorze.

— Co takiego?

— Czy ktoś już wcześniej rozbił omniskop?

— Nie, młody człowieku. Inni ostrożniej się obchodzą z cennym sprzętem.

— Ehm... Czy zechce pan zajrzeć w ten kawałek? To bardzo ważne, by zajrzał pan w ten kawałek.

* * *

U stóp Cori Celesti nadszedł czas na wspomnianie dawnych dni. Napadający i napadnięci rozpalili ognisko.

— Jak to się stało, że rzuciłeś robotę złowrogiego władcy ciemności, Harry?
— dopytywał się Cohen.

— No, wiecie, jak to się ostatnio układa — odparł Złowrogi Harry Lęk.

Orda pokiwała głowami. Wiedzieli, jak to się ostatnio układa.

— Ostatnio ludzie, kiedy atakują taką na przykład Mroczną Wieżę Zła, przede wszystkim blokują tunel uciezkowy.

— Dranie! — uznał Cohen. — Trzeba pozwolić władcy ciemności na ucieczkę. Wszyscy o tym wiedzą.

— Szczera prawda — zgodził się Caleb. — Przecież na jutro też trzeba sobie jakąś pracę zostawić.

— I nikt mi nie zarzuci, że nie grałem uczciwie — tłumaczył Złowrogi Harry. — Wiecie, zawsze zostawiałem tajemne tylne wejście do mojej Góry Grozy, zatrudniałem jako strażników prawdziwych durniów...

— To jo — oznajmił z dumą wielki troll.

— To ty, rzeczywiście. Zawsze pilnowałem, żeby moi siepacze nosili takie hełmy, no wiecie, takie co zakrywają całą twarz, żeby przedsiębiorczy bohater mógł się w takim przemknąć. A one nie są tanie, możecie mi wierzyć.

— Ja i Złowrogi Harry znamy się od bardzo dawna. — Cohen skrzył papierosa. — Chyba jeszcze od czasów, kiedy zaczynał z dwoma tylko chłopakami i swoją Szopą Zguby.

— I Ciachaczem, Rumakiem Grozy — przypomniał Złowrogi Harry.

— Tak, tylko że to był osioł, Harry — zauważył Cohen.

— Ale potrafił solidnie ugryźć. Można było stracić palec, jak człowiek nie uważał.

— Czy nie walczyłem z tobą, kiedy byłeś Zgubionym Pajęczym Bogiem?

— Prawdopodobnie. Wszyscy inni walczyli. To były piękne dni. — Harry westchnął. — Na ogromnych pająkach zawsze można polegać, są nawet lepsze niż ośmiornice. Potem, oczywiście, wszystko się zmieniło.

Pokiwali głowami. Rzeczywiście, wszystko się zmieniło.

— Powiedzieli, że jestem plamą złą, która bruka oblicze świata. Ani słowa o tym, że tworzyłem miejsca pracy w obszarach o tradycyjnie wysokim bezrobociu. Potem, naturalnie, włączyli się więksi gracze. Trudno było z nimi konkurować z siedziby poza miastem. Ktoś z was słyszał o Ningi Niewspółczującym?

— Mniej więcej — odparł Mały Willie. — Zabiłem go.

— Nie mogłeś! Co to on zawsze mówił? „Zjawię się znowu w tej okolicy”.

— Trochę trudno to zrobić — stwierdził Mały Willie, nabijając fajkę — kiedy twoja głowa jest przybita do drzewa.

— A co z Pamdar, Czarnoksięską Królową?

— Wycofała się.

— Nigdy by się nie wycofała.

— Wyszła za mąż — upierał się Cohen. — Za Wściekłego Hamisha.

— Co?

— POWIEDZIAŁEM, ŻE SIĘ OŻENIŁEŚ Z PAMDAR, HAMISH! — wrzasnął Cohen.

— He, he, he, tak żem zrobił! I co?

— Chociaż trzeba pamiętać, że to było dawno — zauważył Mały Willie. — Nie sądzę, żeby ten związek przetrwał.

— Przecież była diabolicą!

— Wszyscy się starzejemy, Harry. Teraz prowadzi sklep. Spizarnia Pam. Robi marmoladę.

— Co? Kiedyś była królową, z tronem na szczycie stosu czaszek!

— Nie powiedziałem przecież, że to bardzo dobra marmolada.

— A co z tobą, Cohenie? — zapytał Harry. — Słyszałem, że zostałeś cesarzem.

— Nieźle brzmi, prawda? — Cohen westchnął smętnie. — Ale wiesz co? To nudne. Wszyscy się podlizują, okazują szacunek, nie ma z kim walczyć, a od tych miękkich łóżek tylko w krzyżu człowieka łupie. Masa pieniędzy, ale nie ma ich na co wydawać, chyba że na zabawki. Cywilizacja wysysa z człowieka całe życie.

— Zabiła Starego Vincenta — poinformował Mały Willie. — Udławił się na śmierć ogrodnikiem.

Zapadła cisza, tylko syczały płatki śniegu wpadające w ogień i grupa ludzi szybko myślących.

— Chodzi chyba o ogórek — odezwał się w końcu minstrel.

— Rzeczywiście, ogórek — przyznał Mały Willie. — Nie mam pamięci do nazw.

— To bardzo istotna różnica w sytuacji braku warzyw — stwierdził Cohen. Znowu zwrócił się do Złowrogiego Harry'ego. — Bohater nie powinien umierać: miękki, gruby, jedząc wystawne kolacje. Bohater powinien ginąć w

walce.

— Tak. Ale wy, chłopaki, nigdy nie załapaliście, o co chodzi w tym umieraniu — zauważył Złowrogi Harry.

— Bo nie wybieraliśmy odpowiednich wrogów. Ale tym razem mamy zamiar spotkać się z bogami. — Postukał w beczkę, na której siedział, a reszta Srebrnej Ordy drgnęła mimowolnie. — Mamy tu coś, co należy do nich.

Rozejrzał się i dostrzegł ledwie zauważalne skinienia głów ordyńców.

— Wybrałbyś się z nami, Złowrogi Harry? — zaproponował. — Możesz zabrać swoich złowrogich siepaczy.

Złowrogi Harry wyprostował się dumnie.

— Chwileczkę! Jestem władcą ciemności! Jak by to wyglądało, gdybym zaczął się włóczyć z bandą bohaterów?

— Nijak by nie wyglądało — odparł surowo Cohen. — I może lepiej ci wytłumaczę dlaczego. Jesteśmy ostatni, rozumiesz? My i ty. Nie ma więcej bohaterów, Harry. I nie ma złoczyńców.

— Zawsze są jacyś złoczyńcy — upierał się Złowrogi Harry.

— Och, są złośliwi, złowrodzy, podstępni dranie, to prawda. Ale teraz wykorzystują prawo. I nigdy nie mają takich imion jak Złowrogi Harry.

— To ludzie, którzy nie znają Kodeksu — dodał Mały Willie.

Wszyscy pokiwali głowami. Można nie przestrzegać prawa, ale trzeba przestrzegać Kodeksu.

— Ludzie z kawałkami papieru — dodał Caleb.

Znów nastąpiło zbiorowe przytaknięcie. Ordyńcy nie byli zagorzałymi czytelnikami. Papier okazał się wrogiem, tak samo jak ludzie, którzy go używali. Papier okrążał człowieka i przejmował władzę nad światem.

— Zawsze cię lubiliśmy, Harry — zapewnił Cohen. — Grałeś według zasad. To co, idziesz z nami?

Złowrogi Harry był wyraźnie zakłopotany.

— Hm, bardzo bym chciał — powiedział. — Ale... wiecie, przecież jestem Złowrogim Harrym, nie? Ani na moment nie możecie mi zaufać. Przy

pierwszej okazji zdradzę was wszystkich, wbiję nóż w plecy albo co... Muszę, rozumiecie? Oczywiście, gdyby to ode mnie zależało, byłoby całkiem inaczej. Ale muszę pamiętać o swojej reputacji, nie? Jestem Złowrogim Harrym. Nie proście, żebym szedł z wami.

— Słusznie rzecz — pochwalił Cohen. — Lubię ludzi, którym nie mogę zaufać. Przy takim niegodnym zaufania człowiek wie, na czym stoi. Tylko taki, z którym nic nie wiadomo, zawsze sprawia kłopoty. Chodź z nami, Harry. Jesteś jednym z nas. I twoi chłopcy też. Nowi, jak widzę... — Cohen uniósł brwi.

— No, właściwie tak. Sam wiesz, jak trudno o naprawdę głupich siepaczy — wyjaśnił Złowrogi. — To jest Szlam...

— ...nork, nork — powiedział Szlam.

— Oho, jeden z klasycznie głupich ludzi-jaszczurów. Dobrze wiedzieć, że jeszcze jacyś pozostali. A ten to...

— ...nork, nork.

— To też Szlam. — Złowrogi Harry poklepał drugiego człowieka-jaszczura po ramieniu, ostrożnie, żeby uniknąć kolców. — Typowy człowiek-jaszczur ma trudności z zapamiętaniem więcej niż jednego imienia. A tam... — Skinął na coś w przybliżeniu podobne do krasnoluda, co spojrzało na niego pytająco. — Jesteś Pacha — odpowiedział Złowrogi Harry.

— Pacha — przedstawił się z wdzięcznością Pacha.

— ...nork, nork — wtrącił jeden z ludzi -jaszczurów, na wypadek gdyby ta uwaga była skierowana do niego.

— Dobra robota, Harry — pochwalił Cohen. — Strasznie trudno jest znaleźć naprawdę głupiego krasnoluda.

— Nie było łatwo, możesz mi wierzyć — przyznał z dumą Harry. Wskazał kolejnego ze swych sług. — A to Rzeźnik.

— Dobrze imię... — Cohen przyjrzał się wielkiemu grubasowi. — Dozorca więzienny, co?

— Nieźle się go naszukałem — opowiadał Złowrogi Harry, gdy Rzeźnik uśmiechał się z zadowoleniem do niczego. — Wierzy we wszystko, co mu się powie, nie potrafi się zorientować w najbardziej bzdurnym przebraniu, wypuściłby na wolność nawet transwestytę w kostiumie praczki, choćby miała brodę, w której da się rozbić obóz. Łatwo zasypia na krześle stojącym blisko krat i...

— ...nosi klucze na tym wielkim kółku u pasa, żeby łatwo było mu je wykraść! — dokończył Cohen. — Klasyka. Mistrzowskie pociągnięcie. Widzę, że masz też trolla?

— To jo — powiedział troll.

— ...nork, nork.

— To jo.

— No tak, trzeba przecież mieć trolla. Trochę za sprytny, jak na moje potrzeby, ale nie ma wyczucia kierunku i nie potrafi zapamiętać własnego imienia.

— A co tutaj mamy? — dziwił się Cohen. — Prawdziwy stary zombi? Gdzieś go wykopał? Podobają mi się tacy, którzy bez obawy pozwalają, żeby całe ciało im odpadło od kości.

— Gak — stwierdził zombi.

— Nie masz języka, co? — domyślił się Cohen. — Nie przejmuj się, chłopcze. Wrzask, od którego krew krzepnie w żyłach, to wszystko, czego ci trzeba. I jeszcze paru kawałków drutu, na oko sądząc. To kwestia stylu.

— To jo.

— ...nork, nork.

— Gak.

— To jo.

— Twoja Pacha.

— Musisz być z nich dumny. Nie pamiętam już, kiedy widziałem głupszą bandę siepaczy. Harry, jesteś jak odświeżające pierdnięcie w pokoju pełnym róż. Musisz ich zabrać ze sobą. Nie chcę nawet słyszeć, że zostajesz.

— Miło, kiedy człowieka doceniają. — Harry zarumienił się skromnie.

— Zresztą, co cię tu jeszcze czeka? Kto dzisiaj potrafi naprawdę docenić dobrego władcę ciemności? Świat zrobił się za skomplikowany. Nie należy już do nam podobnych. Takich jak my dławi na śmierć ogórkami.

— A co wy właściwie chcecie zrobić, Cohenie? — zainteresował się Złowrogi Harry.

— ...nork, nork.

— Tak sobie myślę, że pora już odejść tak, jak zaczęliśmy — wyjaśnił Cohen. — Ostatni rzut kością. — Znow postukał w beczułkę. — Pora już — rzekł — żeby coś oddać.

— ...nork, nork.

— Zamknij się.

Nocą światło się przesączało przez otwory i szczeliny w plandece. Vetinari zastanawiał się, czy Leonard w ogóle sypia. Całkiem możliwe, że wymyślił jakieś urządzenie, które spało za niego.

W tej chwili bardziej martwiły go inne sprawy.

Smoki płynęły na osobnym statku. Zbyt niebezpieczne byłoby wstawić je na pokład z czymkolwiek innym. Statki zbudowane są z drewna, a smoki nawet w dobrym nastroju wydmuchują małe kule ognia. Kiedy są podniecone, wybuchają.

— Nic im się nie stanie, prawda? — zapytał, trzymając się w bezpiecznej odległości od klatek. — Gdyby któryś ucierpiał, będę miał poważne kłopoty

ze Słonecznym Schroniskiem w Ankh -Morpork, a mogę pana zapewnić, że nie jest to przyjemna perspektywa.

— Pan da Quirm twierdzi, że nie ma powodów, by nie wróciły wszystkie bezpiecznie.

— A czy pan, panie Stibbons, zawierzyłby swoją osobę aparatowi popychanemu przez smoki?

Myślak nerwowo przełknął ślinę.

— Nie jestem materiałem na bohatera, panie.

— A cóż powoduje tę pańską niemożność, jeśli wolno spytać?

— To dlatego, myślę, że mam aktywną wyobraźnię.

To chyba dobre wytłumaczenie, myślał Vetinari, odchodząc. Różnica polega na tym, że gdy inni ludzie wyobrażają sobie w słowach i obrazach, Leonard wyobrażał sobie w kształtach i przestrzeni. Jego marzenia senne pojawiały się ze schematem cięcia i instrukcją montażu.

Vetinari odkrył, że coraz bardziej liczy na sukces swojego alternatywnego

planu.

Kiedy wszystko zawiedzie, módl się.

* * *

— W porządku, chłopcy. Cisza. Proszę o spokój.

Hughnon Ridcully, najwyższy kapłan Ślepego Io, spoglądał na tłum kapłanów i kapłanek wypełniający potężną świątynię Pomniejszych Bóstw.

Wiele cech charakteru łączyło go z jego bratem Mustrumem. On także uważał się przede wszystkim za organizatora. Istniało wielu ludzi, znakomicie wykwalifikowanych w wierze, więc im to pozostawiał. Trzeba o wiele więcej niż modlitwy, by dopilnować, żeby pranie wykonywano w terminie, a budynki były remontowane.

Istniało teraz tak wiele bóstw... co najmniej dwa tysiące. Wiele, naturalnie, wciąż było całkiem małych. Ale należało na nie uważać. To przede wszystkim kwestia mody. Weźmy takiego Oma, na przykład. Dopiero co był zaledwie drobnym, krwiożerczym bóstwem w jakimś obłąkanym, gorącym kraiku, aż nagle stał się jednym z czołowych bogów. Dokonał tego, nie odpowiadając na modły, ale w pewien dynamiczny sposób, który pozostawiał

otwartą możliwość, że pewnego dnia odpowie, a wtedy strzelą fajerwerki. Na Hughnonie, który przetrwał dziesięciolecia gorących dysput teologicznych dzięki temu, że sprawnie i celnie kręcił ciężkim trybularzem, ta nowa technika zrobiła wielkie wrażenie.

Pojawiały się też bóstwa całkiem nowe, jak Aniger, bogini rozgniecionych zwierząt. Kto by przypuszczał, że lepsze gościńce i szybsze powozy do tego doprowadzą? Ale bogowie rośli, kiedy wzywano ich w potrzebie, a dostatecznie wiele duszyczek krzyknęło: „O bogowie, co ja rozjechałem?”.

— Bracia! — zawołał wreszcie Hughnon, znużony wyczekiwaniem. — I siostry!

Gwar ucichł. Kilka płatków złuszczonej farby spłynęło wolno z sufitu.

— Dziękuję — powiedział Ridcully. — Czy teraz wszyscy mogą mnie wysłuchać? Moi koledzy — wskazał starszych duchownych za sobą — i ja pracowaliśmy, mogę was zapewnić, nad tą ideą od dłuższego czasu i nie ma wątpliwości, że jest teologicznie poprawna. Czy mogę mówić dalej?

Wciąż wyczuwał irytację wśród kleru. Urodzeni przywódcy nie lubią, gdy ktoś im przewodzi.

— Jeśli nie spróbujemy — wołał — bezbożni magowie mogą zrealizować swój plan. A my wyjdziemy na doborową bandę prostaczków.

— Wszystko świetnie, ale forma też jest ważna — burknął jakiś kapłan. — Nie możemy wszyscy modlić się jednocześnie. Wiemy przecież, że bogowie nie lubią ekumenizmu. I jakich niby słów użyjemy, jeśli wolno spytać?

— Wydawało mi się, że jakaś krótka, niekontrowersyjna... — Hughnon Ridcully urwał nagle. Przed nim stali kapłani, którym święty edykt zabraniał jedzenia brokułów, kapłani wymagający, żeby niezamężne dziewczęta zasłaniały uszy, by nie rozpalać namiętności w mężczyznach, a także kapłani oddający cześć małemu herbatnikowi z rodzinami. Nic nie było niekontrowersyjne.

— Widzicie, wszystko wskazuje na to, że świat wkrótce się skończy — oznajmił słabym głosem.

— I co z tego? Niektórzy z nas oczekują czegoś takiego już od dłuższego czasu. To będzie kara dla ludzkości za jej zepsucie!

— I za brokuły!

— I te krótko ścięte włosy, jakie dziewczęta dziś noszą!

— Tylko herbatniki dostąpią zbawienia!

Ridcully gorączkowo wymachiwał pastorałem, starając się ich uspokoić.

— Ale tutaj nie mamy do czynienia z gniewem bogów — tłumaczył. — To dzieło człowieka!

— No tak, ale może on być narzędziem boga!

— To Cohen Barbarzyńca — wyjaśnił Ridcully. — Mimo to może...

Mówca z tłumu został uciszony szturchnięciem stojącego obok kapłana.

— Zaczekaj...

Rozległ się gwar podnieconych rozmów. Niewiele było świątyń, które nie zostały okradzione czy napadnięte w długim i pełnym przygód życiu Cohena. Kapłani więc szybko się zgodzili, że żaden bóg nigdy nie miał w opiece niczego, co choćby przypominało tego barbarzyńcę. Hughnon skierował wzrok ku sklepieniu z jego przepiękną, choć nieco podniszczoną panoramą bogów i herosów. Bogowie mają chyba łatwiejsze życie, uznał.

— No dobrze — rzekł łaskawie jeden z protestujących. — W tym przypadku możemy chyba, wobec szczególnych okoliczności, zasiąść razem do stołu. Ten jeden raz.

— Aha. To dobrze... — zaczął Ridcully.

— Ale oczywiście musimy bardzo poważnie rozważyć, jaki kształt winien mieć ów stół.

Ridcully przez moment spoglądał na niego bez wyrazu. Potem z nieruchomą twarzą pochylił się do jednego ze swych subdiakonów.

— Scallop, poślij kogoś, niech powie mojej żonie, żeby przygotowała mi rzeczy na noc. Mam wrażenie, że to jeszcze trochę potrwa.

* * *

Centralna iglica Cori Celesti wydawała się codziennie tak samo daleka.

— Jesteście pewni, że Cohen dobrze nas prowadzi? — zapytał Złowrogi Harry, pomagając Małemu Williemu manewrować wózkiem Hamisha po lodzie.

— Co jest, Harry? Próbujesz wzbudzić niezgodę w oddziale?

— Przecież was uprzedzałem, Will. Jestem władcą ciemności. Muszę zachować formę. A my podążamy za przywódcą, który stale zapomina, gdzie schował swoją sztuczną szczękę.

— Co? — zapytał Wściekły Hamish.

— Chcę tylko powiedzieć, że wysadzanie bogów w powietrze może spowodować kłopoty — mówił dalej Harry. — Trochę to... pozbawione szacunku.

— Na pewno w swoim czasie zbezczęściłeś parę świątyń, co, Harry?

— Ja je prowadziłem, Will. Prowadziłem. Przez jakiś czas byłem przecież Obląkanym Władcą Demonów. Miałem Świątynię Grozy.

— Tak, na swojej działce. — Mały Willie uśmiechnął się kpiąco.

— Racja, wypominaj, co masz mnie oszczędzać — burknął ponuro Harry. — Tylko dlatego, że nigdy nie wszedłem do czołowej ligi, dlatego...

— Spokojnie, Harry. Wiesz przecież, że wcale tak nie myślimy. Szanowaliśmy cię. Znałeś Kodeks, dotrzymywałeś wiary. Wiesz, Cohen uważa, że bogom od dawna się to należy. Ja za to trochę się martwię, bo przed nami leżą niemiłe okolice.

Złowrogi Harry spojrzał w głąb śnieżnego kanionu.

— Jest podobno jakaś magiczna ścieżka prowadząca pod górę — opowiadał Mały Willie. — Ale zanim się do niej dostaniemy, trzeba wyminąć masę jaskiń.

— Niepokonane Groty Strachu — odpowiedział Złowrogi Harry.

— Słyszałeś o nich? — Willie był pod wrażeniem. — Według jakiejś starej legendy strzeże ich legion straszliwych potworów i kilka demonicznie chytrych urządzeń. Nikt jeszcze tamtędy nie przeszedł. Są też niebezpieczne szczeliny. Potem trzeba przepłynąć podwodnymi grotami, strzeżonymi przez gigantyczne, ludożercze ryby; żaden człowiek ich jeszcze nie przebył. Później są jacyś obłąkani mnisi i drzwi, które można przekroczyć, jedynie rozwiązując jakąś starożytną zagadkę... Zwykłe zagrywki.

— Brzmi to jak poważne zadanie — stwierdził Złowrogi Harry.

— Znamy rozwiązanie zagadki — wyjaśnił Mały Willie. — To „zęby”.

— Jak to odkryliście?

— Nie musieliśmy. W tych wrednych starych zagadkach zawsze chodzi o

zęby. — Mały Willie stęknął, gdy wraz z Harrym przesuwali wózek przez wyjątkowo głęboką zaspę. — Ale największy kłopot to przeciągnąć tamtędy ten przeklęty wózek, i to tak, żeby Hamish się nie obudził i nie narobił kłopotów.

* * *

W swym mrocznym domu na krawędzi Czasu Śmierć przyglądał się drewnianej skrzynce.

MOŻE POWINIENEM SPRÓBOWAĆ JESZCZE RAZ, powiedział.

Schylił się, podniósł kociaka, pogłaskał, po czym włożył do skrzynki i zamknął wieko.

KOT ZDECHNIE, KIEDY SKOŃCZY SIĘ POWIETRZE?

— Pewnie tak, panie — zgodził się Albert, jego kamerdyner. — Ale chyba nie o to chodzi. Jeżeli dobrze zrozumiałem, nie wiadomo, czy kot jest żywy, czy martwy, dopóki się do niego nie zajrzy.

MARNIE WYGLĄDAŁYBY SPRAWY, ALBERCIE, GDYBYM NIE WIEDZIAŁ, CZY COŚ JEST ŻYWE, CZY MARTWE, DOPÓKI BYM NIE POSZEDŁ DO TEGO I NIE POPATRZYŁ.

— Hm... Według teorii, panie, to akt patrzenia określa, czy jest żywy, czy nie.

Śmierć wydawał się urażony.

CZYŻBYŚ SUGEROWAŁ, ALBERCIE, ŻE ZABIJĘ KOTA SAMYM SPOJRZENIEM?

— To nie całkiem tak, panie.

ZNACZY, NIE ROBIĘ PRZECIEŻ MIN ANI NIC.

— Szczerze panu wyznam, że moim zdaniem nawet magowie nie całkiem rozumieją tę historię z nieoznaczonością. Za moich czasów nie zajmowaliśmy się takimi kategoriami problemów. Jeśli człowiek nie był pewien, to był martwy.

Śmierć pokiwał głową. Coraz trudniej było dotrzymać kroku czasom. Weźmy takie wymiary równoległe. Wymiary pasożytnicze to co innego; te rozumiał. Mieszkał w jednym z nich. Były to wszechświaty nie do końca zupełne, mogły zatem istnieć jedynie przysysając się do nosiciela, tak jak remora. Ale

równoległe wymiary oznaczały, że cokolwiek ktoś zrobił, nie zrobił tego gdzie indziej. Dla istoty, która z samej swej natury operowała na faktach pewnych, to trudny problem. Jak gra w pokera przeciwko nieskończonej liczbie przeciwników.

Otworzył skrzynkę i wyjął kotka. Zwierzak patrzył na niego z obłąkanym zdumieniem, normalnym u wszystkich kociąt.

NIE POPIERAM OKRUCIEŃSTWA WOBEC KOTÓW, oświadczył Śmierć i postawił zwierzaka na podłodze.

— Chyba ten pomysł z kotem w pudełku to zwyczajna metafora — rzekł Albert.

AHA. KŁAMSTWO.

Śmierć pstryknął palcami.

Gabinet Śmierci nie zajmował przestrzeni w zwykłym sensie tego słowa. Ściany i sufit służyły raczej jako dekoracja niż dowolny typ ograniczeń wymiarowych. Teraz rozwiały się, a w powietrzu wyrosła gigantyczna klepsydra.

Trudno byłoby określić jej rozmiar, ale z pewnością był mierzony w milach. Wewnątrz wśród spadającego piasku uderzały błyskawice. Na zewnątrz, na

szkle, wyryty był żółw.

MUSIMY ZROBIĆ TROCHĘ MIEJSCA, stwierdził Śmierć.

* * *

Złowrogi Harry klęczał przed pospiesznie skonstruowanym ołtarzem. Zbudował go głównie z czaszek, które nietrudno było znaleźć w tym okrutnym krajobrazie. Harry się modlił. W długim życiu władcy ciemności, choćby w niewielkiej skali, nawiązał pewne kontakty na innych płaszczyznach istnienia. Były to... chyba bóstwa, jak przypuszczał. Miały takie imiona, jak na przykład Olk-Kalath, Wysysacz Dusz, ale szczerze mówiąc, rozgraniczenie między bogami a demonami nawet w najlepszych momentach wydawało się dość nieokreślone.

— O, potężny — zaczął, co było rozsądnym zagajeniem i religijnym odpowiednikiem zdania „Do wszystkich zainteresowanych”. — Muszę cię uprzedzić, że banda bohaterów wspina się na Górę Świata, żeby uderzyć was zwracanym ogniem. Obyś poraził ich gromem swego gniewu, a potem spojrzał przychylnie na twego sługę, Złowrogię Harry'ego Lęka, pocztę można zostawiać u pani Gibbons, Aleja Dolmenów 12, Barr-han, Llamedos. Także, jeśli to możliwe, chciałbym otrzymać lokalizację w pobliżu prawdziwych kraterów z lawą, każdy inny zły władca jakoś zdobywa przerażający krater z lawą, nawet na stu stopach tej przeklętej gleby osadowej, wybac proszę mój klatchiański, to kolejny dowód dyskryminacji małych firm, bez urazy.

Odczekał chwilę, na wypadek gdyby nadeszła odpowiedź, westchnął i stanął na nieco drżących nogach.

— Jestem złym i niegodnym zaufania władcą ciemności — stwierdził. — Czego właściwie się spodziewali? Mówiłem im. Uprzedzałem. Owszem, gdyby to tylko ode mnie zależało... Ale gdzie bym się znalazł, jako władca ciemności, gdybym...

Jego wzrok trafił nagle na coś różowego. Leżało niedaleko. Wspiął się na przysypany śniegiem gład, żeby lepiej widzieć...

Dwie minuty później reszta Srebrnej Ordy dołączyła do niego i w zadumie obserwowała cały obraz. Tylko minstrel dostał mdłości.

— Czegoś takiego nie widuje się często — stwierdził Mały Willie.

— Czego? Człowieka zaduszonego motkiem różowej wełny? — zdziwił się Caleb.

— Nie, myślałem o tamtych dwóch.

— Tak. Trudno uwierzyć, czego można dokonać drutami do robótek — przyznał Cohen. Obejrzał się na zaimprovizowany ołtarz. — To twoja

robota, Harry? Mówiłeś, że chcesz zostać sam.

— Różowa wełna? — zaśmiał się nerwowo Harry. — Ja i różowa wełna?

— Przepraszam, że coś takiego sugerowałem — zmieszał się Cohen. — No, ale nie mamy czasu na głupstwa. Chodźmy załatwić te Groty Strachu. Gdzie nasz bard? A, jest. Przestań rzygać i wyciągaj swój notatnik. Pierwszy, który da się przepołować przez ukryte ostrze, jest zgniłym jajem, dobra? I jeszcze jedno... Starajcie się nie budzić Hamisha, co?

* * *

Morze wypełnione było chłodnym, zielonkawym blaskiem.

Kapitan Marchewa siedział na dziobie. Ku zdumieniu Rincewinda, który wyszedł na ponury wieczorny spacer po pokładzie, coś haftował.

— To naszywka naszej misji — wyjaśnił. — Widzisz? Ta jest dla ciebie. — Pokazał Rincewindowi.

— Ale po co?

— Dla morale.

— Ach, no tak. Ty masz go mnóstwo, Leonard nie potrzebuje, a ja nigdy nie miałem ani odrobiny.

— Żartujesz, uważam, że to bardzo ważne. Musimy mieć coś, co trzyma załogę razem.

— Jasne. To coś się nazywa skóra. Wszyscy powinni trzymać się po jej wewnętrznej stronie.

Rincewind przyglądał się naszywce. Nigdy nie nosił żadnych odznak. No... właściwie to nieprawda. Miał kiedyś taką z napisem „Dziś mam już 5 lat”, co jest chyba najgorszym możliwym prezentem dla sześciolatka. Tamte urodziny były najpaskudniejszym dniem w jego życiu.

— Potrzebne jest jeszcze jakieś motto dodające odwagi — tłumaczył Marchewa. — Magowie znają się na takich rzeczach, prawda?

— Może *Morituri Nolumus Mori*. To ma odpowiednie brzmienie — zaproponował Rincewind smętnym głosem.

Marchewa poruszył wargami, analizując sentencję.

— Mający umrzeć... reszty nie rozumiem.

— Bardzo podnosi na duchu — zapewnił go Rincewind. — Płynie prosto z serca.

— Doskonale. Bardzo dziękuję. — Marchewa się ucieszył. — Natychmiast biorę się do pracy.

Rincewind westchnął.

— Ciebie to ekscytuje, prawda? — zapytał. — Poważnie.

— Z pewnością będzie to spore wyzwanie: wyruszyć tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek...

— Błąd. Wyruszamy tam, skąd żaden człowiek jeszcze nie wrócił. No, oprócz mnie, naturalnie. Ale ja nie poleciałem daleko, a potem z powrotem spadłem na Dysk.

— Opowiadano mi o tym. Co tam widziałeś?

— Całe moje życie przesuające mi się przed oczami.

— Może nam uda się zobaczyć coś ciekawszego.

Rincewind spojrzał gniewnie na Marchewę, znów pochylonego nad haftem. Wszystko w tym człowieku było wymuskane, choć nie ozdobne; wyglądał jak ktoś, kto bardzo dokładnie się myje. Rincewindowi wydawał się kompletnym idiotą z mlekiem pod nosem, tyle że kompletni idioci nie wygłaszają takich komentarzy.

— Zabieram ikonograf i dużo farby dla chochlika. Wiesz, magowie chcą, żebyśmy prowadzili najróżniejsze obserwacje — mówił dalej Marchewa. — Powtarzają, że taka okazja zdarza się raz w życiu.

— Nie znajdujesz tu wielu nowych przyjaciół, co? — mruknął Rincewind.

— Domyślasz się, czego może chcieć Srebrna Orda?

— Wina, skarbów i kobiet. Chociaż myślę, że na tych ostatnich już im tak bardzo nie zależy.

— Ale czy nie mieli już mniej więcej tego wszystkiego?

Rincewind pokiwał głową. To była prawdziwa zagadka. Orda już to zdobyła. Mieli wszystko, co można kupić, a że na Kontynencie Przeciwwagi jest dużo pieniędzy, oznaczało to po prostu wszystko.

Przyszło mu jednak do głowy, że kiedy człowiek ma wszystko, to nie pozostało już nic więcej.

* * *

Dolina wypełniona była bladym, zielonkawym blaskiem odbijanym przez lodową wieżę centralnej iglicy. Światło falowało i płynęło niczym woda. Prosto w owo lśnienie wkroczyła Srebrna Orda, burcząc i prosząc się nawzajem, by mówić głośniejsze.

Za nimi, zgięty wpół ze grozy i przerażenia, blady jak ktoś, kto widział rzeczy straszne, szedł minstrel. Ubranie miał w strzępach. Coś oderwało mu jedną nogawkę rajtuzów. Był przemoczony, chociaż niektóre elementy odzieży wyglądały jak przypalone. W drżącej dłoni ścisnął brzęczące pozostałości lutni, odgryzionej w połowie.

Oto był człowiek, który naprawdę poznał życie, głównie w chwili zakończenia.

— Niespecjalnie obłąkani, jak na mnichów — stwierdził Caleb. — Po mojemu to raczej smętni niż w głowie mętni. Znałem takich, co im piana ciekła z ust.

— A niektóre potwory już dawno powinny trafić do rzeźnika, nie da się ukryć — dodał Truckle. — Przyznam uczciwie, aż trochę głupio było je zabijać. Wyglądały na starsze od nas.

— Ryby były niezłe — przypomniał Cohen. — Naprawdę wielkie dranie.

— I bardzo dobrze, bo skończył nam się mors — stwierdził Złowrogi Harry.

— Pięknie się spisali twoi siepacze, Harry — pochwalił Cohen. — Głupota to zbyt łagodne określenie. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby tak wielu trafiało się w głowę własnymi mieczami.

— To były dobre chłopaki. — Harry westchnął. — Durnie do końca.

Cohen uśmiechnął się do Małego Williego, który ssał palec.

— Zęby — powiedział. — Akurat... Odpowiedź zawsze jest „zęby”, co?

— Dobrze już, dobrze, czasami to „język” — przyznał Mały Willie.

Odwrócił się do minstrela. — Widziałeś tę scenę z wielką tarantulą? — zapytał.

Minstrel powoli uniósł głowę. Struna lutni pękła.

— Wrr... — zawarczał.

Cała Orda natychmiast zebrała się przy nim. Nie chcieli pozwolić, żeby jeden z nich dostał wszystkie najlepsze strofy.

— Nie zapomnij wyśpiewać tego, jak połknęła mnie ta wielka ryba, a ja wyrąbałem sobie drogę od środka, dobra?

— Wrr...

— A nie przegapiłeś, jak zabiłem ten wielki sześcioreczny tańczący posąg?

— Wrr...

— Co ty gadasz? To ja zabiłem ten posąg!

— Tak? A ja przeciąłem go równo na pół. Nikt by tego nie przeżył.

— To czemu zwyczajnie mu nie odrąbałeś głowy?

— Bo nie mogłem. Ktoś odrąbał mu wcześniej.

— Zaraz, on tego nie zapisuje! Czemu on nic nie zapisuje? Cohen, powiedz mu, żeby zapisywał!

— Zostawcie go na chwilę — uspokoił ich Cohen. — Ryba mu chyba zaszkodziła.

— Niemożliwe! — obruszył się Truckle. — Wyciągnąłem go przecież, ledwie zdążyła go nadgryźć. A w tamtym korytarzu na pewno ładnie się wysuszył. Wiesz, w tym, co niespodziewanie płomienie wystrzeliły z podłogi.

— Mam wrażenie, że nasz bard nie spodziewał się płomieni strzelających tak niespodziewanie.

Truckle demonstracyjnie wzruszył ramionami.

— Jak kto nie ma zamiaru spodziewać się niespodziewanie strzelających

płomieni, to po co w ogóle gdziekolwiek się wybiera?

— I czekała nas niezła bójka ze strzegącymi bramy demonami z podziemnego świata, gdyby Wściekły Hamish się nie obudził — mówił dalej Cohen.

Hamish poruszył się w swoim wózku, pod wielkim stosem rybnych filetów owiniętych niewprawnie w żółte mnisie szaty.

— Co?

— POWIEDZIAŁEM, ŻE BYŁEŚ ZŁY, KIEDY CI PRZERWAŁY DRZEMKĘ!

— A tak. Nu jasne.

Mały Willie potarł udo.

— Muszę przyznać, że jeden z tych potworów o mało mnie nie dostał — powiedział. — Chyba będę się musiał wycofać.

Cohen obejrzał się szybko.

— I umrzeć jak Stary Vincent, tak?

— No, może nie...

— Gdzie by trafił, gdyby nie było nas przy nim, żeby mu urządzić odpowiedni pogrzeb? Wielkie ognisko to właściwy pogrzeb dla bohatera. A wszyscy inni mówili, że tylko marnujemy porządną łódź! Więc przestań wygadywać takie rzeczy i za mną!

— Wrr... wrrr... — rozgrzewał się minstrel, aż w końcu zdołał wykrztusić zrozumiałe słowa: — Wrria... Wariaci! Wariaci! Jesteście normalnymi wariatami! Chyba was obłąd ogarnął!

Wszyscy ruszyli za przywódcą. Caleb tylko zwolnił i poklepał chłopaka po ramieniu.

— Wolim określenie „szał bitewny”, mój mały — powiedział.

* * *

Pewne rzeczy wymagają przetestowania.

— Obserwowałem nocą smoki bagienne — rzucił swobodnym tonem Leonard, gdy Myślak Stibbons ustawiał mechanizm odpalania statycznego.
— Jest dla mnie oczywiste, że płomień to dla nich całkiem użyteczne źródło napędu. Smok bagienny jest w pewnym sensie żywą rakieta. Zawsze się zastanawiałem, jak te niezwykle istoty pojawiły się w naszym świecie. Podejrzewam, że przybyły skądinąd.

— Mają skłonność do częstych eksplozji — przypomniał Myślak, cofając się o krok. Smok w stalowej klatce przyglądał mu się uważnie.

— Niewłaściwa dieta — oświadczył stanowczo Leonard. — Być może różna od tej, do jakiej były przyzwyczajone. Ale jestem przekonany, że mieszanka, jaką stworzyłem, okaże się zarówno pożywna, jak i bezpieczna, a także pozwoli... uzyskać pożądaną efekt...

— Ale teraz, proszę pana, musimy obaj iść się schować za workami z piaskiem — przypomniał Myślak.

— Hm... Czy naprawdę sądzisz, że...

— Tak, proszę pana.

Mocno oparty plecami o ścianę worków, Myślak zamknął oczy i pociągnął za

sznurek. Przed klatką smoka opadło lustro. A pierwszą reakcją samca smoka na widok innego samca jest zianie ogniem...

Rozległ się ryk. Obaj badacze wyrzeli zza osłony i zobaczyli żółtozieloną lancę płomienia rozcinającą wieczorny mrok na morzu.

— Trzydzieści trzy sekundy — oznajmił Myślak Stibbons, kiedy płomień w końcu zagaś.

Mały smok czknął.

Ogień już praktycznie zgaś, więc była to najwilgotniejsza eksplozja, jaką Myślak przeżył.

— Aha — rzekł Leonard, wychodząc zza muru worków i zdrapując z głowy kawałek łuskowatej skóry. — Prawie osiągnęliśmy cel, moim zdaniem. Jeszcze dodatkowa szczypta węgla drzewnego i ekstraktu z wodorostów, żeby powstrzymać falę zwrotną.

Myślak zdjął kapelusz. Uznał, że w tej chwili potrzebuje kąpieli. A potem następnej kąpieli.

— Właściwie to nie jestem magiem raketowym, proszę pana — powiedział, ścierając z twarzy kawałki smoka.

Ale w godzinę później płomień zajaśniał nad wodą wąski i biały, z niebieskawym jądrem. I tym razem... tym razem smok jedynie się uśmiechnął.

* * *

— Raczej zginę, niż wpiszę gdzieś swoje imię — zapewnił Mały Willie.

— Ja wolałbym stanąć przed smokiem — dodał Caleb. — Jednym z tych porządnych, z dawnych lat, nie tym małym fajerwerkowym, co to je mają dzisiaj.

— Kiedy już raz cię namówią, żebyś napisał swoje imię, mają cię tam, gdzie chcą — oznajmił Cohen.

— Za dużo tych liter — stwierdził Truckle. — W dodatku każda inna. Ja tam zawsze stawiam X.

Orda zatrzymała się na odpoczynek i papierosa. Śnieg leżał na ziemi grubą warstwą, ale powietrze było niemal ciepłe. Wyczuwało się już lekkie mrowienie pola magicznego o wysokim natężeniu.

— Za to czytanie... — powiedział Cohen. — To całkiem inna historia. Nie mam nic przeciwko takim, co czasami umieją coś przeczytać. Przypuśćmy, że trafiam na mapę, jak to się zdarza, a ona ma wyrysowany wielki krzyż. Człowiek czytający może wtedy sporo odgadnąć.

— Co takiego? Że to mapa Truckle'a? — zapytał Mały Willie.

— Otóż to. Może być właśnie Truckle'a.

— Ja umiem czytać i pisać — wyznał Złowrogi Harry. — Przykro mi. Należy do zawodu. Tak jak etykieta. Trzeba być uprzejmym wobec ludzi, których wprowadza się na deskę nad zbiornikiem z rekinami. Wtedy jest bardziej złowrogo.

— Nikt nie ma ci tego za złe, Harry — zapewnił go Cohen.

— Ha... to nie znaczy, że udało mi się dostać te rekiny — dodał Harry. — Powinienem coś podejrzewać, kiedy Johnny Bezręki powiedział, że to rekiny, tylko jeszcze nie wyrosły im wszystkie płetwy. A one pływały sobie w kółko, piszczały wesoło i prosiły o ryby. Kiedy wrzucam ludzi do zbiornika tortur, to mają być rozerwani na strzępy, a nie odkrywać swoją wewnętrzną jaźń i osiągać zjednoczenie z kosmosem.

— Po mojemu rekiny byłyby lepsze niż te ryby — uznał Caleb i skrzywił się.

— Nie, rekin smakuje jak siki — zaprotestował Cohen. — A na przykład...

— A na przykład to — przerwał mu Truckle — nazywam zwykle kucharstwem.

Podążyli za zapachem przez labirynt głazów, aż do jaskini. Ku zdumieniu minstrela każdy z ordyńców wydobył miecz.

— Nie można ufać kucharstwu — rzekł Cohen, najwyraźniej próbując to wytłumaczyć.

— Ale przecież dopiero co walczyliście z potwornymi, obłąkanymi demonicznymi rybami! — przypomniał mu minstrel.

— Nie, to mnisi byli obłąkani. Ryby były... Z rybami trudno powiedzieć. Z obłąkanym mnichem człowiek wie, na czym stoi. A ktoś, kto gotuje tak dobrze w takim miejscu, to zagadka.

— Więc?

— Zagadki mogą zabić.

— Ale przecież żyjecie.

Miecz Cohena świsnął w powietrzu, a może nawet zaskwierczał — takie wrażenie odniósł minstrel.

— Rozwiązuję zagadki — oświadczył Cohen.

— Aha. Swoim mieczem... Tak jak Carelinus rozwiązał Węzeł Tsortyjski?

— Nie znam się na węzłach, mały.

Na pustej przestrzeni między skałami, na ognisku bulgotała potrawka, a starsza pani pracowała nad haftem. Takiej sceny minstrel się tutaj nie spodziewał, choć trzeba przyznać, że starsza pani była nieco... młodo ubrana jak na babcię, a dewiza, którą wyszywała na makatce, brzmiała SKOSZTUJ ZIMNEJ STALI, ŚWIŃSKI PSIE!

— Coś takiego... — Cohen schował miecz. — Tak mi się zdawało, że poznałem twoją rękę. Jak leci, Vena?

— Dobrze wyglądasz, Cohenie — powiedziała kobieta tak spokojnie, jakby właśnie na nich czekała. — Macie ochotę na potrawkę, chłopaki?

— Pewno. — Truckle uśmiechnął się od ucha do ucha. — Ale niech bard pierwszy spróbuje.

— Wstydz się, Truckle. — Kobieta odłożyła robótkę.

— Wiesz, w końcu przy naszym ostatnim spotkaniu uśpiłaś mnie i ukradłaś stos klejnotów...

— Człowieku, to było czterdzieści lat temu! Poza tym zostawiłeś mnie samą, żebym walczyła z bandą goblinów.

— Wiedziałem, że gobliny pobijesz.

— A ja wiedziałam, że te klejnoty wcale ci nie są potrzebne. Dzień dobry, Złowrogi Harry. Cześć, chłopaki. Przysuńcie sobie jakiś kamień. A kto to jest to chodzące chude nieszczęście?

— Bard — wyjaśnił Cohen. — Bardzie, to jest Vena Kruczowłosa.

— Co? — zdumiał się bard. — Niemożliwe! Nawet ja słyszałem o Venie Kruczowłosej. To wysoka młoda kobieta z... Och...

Vena westchnęła.

— Ciągłe krążą te stare historie. — Przygładziła swe siwe włosy. — Zresztą teraz jestem panią McGarry, chłopcy.

— Tak, słyszałem, że się ustatkowałaś. — Cohen zanurzył chochlę w garnku i skosztował potrawki. — Wyszłaś za oberżystę. Zawiesiłaś miecz na ścianie, miałaś dzieciaki...

— Wnuki — poprawiła go z dumą pani McGarry. Po chwili jednak dumny uśmiech zbladł. — Jeden z nich przejął gospodę, ale drugi jest papiernikiem. Robi papier.

— Prowadzenie gospody to uczciwy fach. A niewiele jest bohaterskiego w papeterii hurtem. Cięcie papieru to jednak nie to samo. — Mlasnął głośno. — Dobre to, dziewczyno.

— Zabawne — powiedziała Vena. — Nigdy nie wiedziałam, że mam talent, ale ludzie potrafią podróżować całe mile, żeby spróbować moich kluseczek.

— Czyli nic się nie zmieniło — stwierdził Truckle Nieuprzejmy. — He, he, he.

— Truckle — rzekł Cohen — pamiętasz, kazałeś mi mówić, kiedy jesteś za bardzo nieuprzejmy?

— Tak. I co?

— To był jeden z takich przypadków.

— Zresztą — podjęła pani McGarry, uśmiechając się słodko do czerwonego ze wstydu Truckle'a — siedziałam tam jakiś czas po śmierci Charliego, aż pomyślałam: Czy to już wszystko? Mam już tylko czekać na Mrocznego Kosiarza? I wtedy... Był taki zwój...

— Jaki zwój?! — zawołali chórem Cohen i Złowrogi Harry.

Spojrzel na siebie podejrzliwie.

— Popatrz — rzekł w końcu Cohen, sięgając do swego worka. — Znalazłem taki stary zwój z mapą, a na niej było pokazane, jak dotrzeć do Góry Świata i wszystkie te drobne sztuczki, żeby się przedostać...

— Ja też — przyznał Harry.

— Nic nie mówiłeś.

— Jestem władcą ciemności, Cohenie — tłumaczył cierpliwie Harry. — Nie powinienem pracować jako kapitan Pomocna Dłoń.

— Powiedz przynajmniej, gdzie go znalazłeś.

— Och, w jakimś starożytnym grobowcu, który łupiliśmy.

— Ja swój znalazłem w starym magazynie, w Imperium Agatejskim.

— A mój zostawił w gospodzie pewien wędrowiec, cały w czerni —
oznajmiła pani McGarry.

W ciszy odezwał się nagle minstrel.

— Ehm... przepraszam...

— Co? — zapytała chórem cała trójka.

— Czy to ja coś pomyliłem, czy czegoś tu nie dostrzegamy?

— Czego na przykład? — zapytał Cohen.

— No, te zwoje wszystkie opisują, jak się dostać na Górę Świata, a to

niebezpieczna wyprawa, z której nikt jeszcze nie wrócił żywy.

— Tak? No i co?

— No to... tego... kto spisał te zwoje?

* * *

Offler, bóg krokodyl, wstał od planszy, która była w rzeczywistości światem.

— No dofra, czyj on jest? — zapytał. — Fo trafił na się infeligent.

Nastąpiło ogólne wyciąganie szyi zebranych bóstw, aż wreszcie jedno z nich podniosło rękę.

— A ty jesteś...

— Wszechmocny Nuggan. Czczą mnie w częściach Borogravii. Ten młody człowiek został wychowany w wierze we mnie.

— A w co wierzą nugganici?

— Tego... we mnie. Głównie we mnie. A wyznawcom nie wolno jeść czekolady, imbiru, grzybów i czosnku.

— Kiedy fegoś fakafujesz, fo nie oszczędzasz, co? — mruknął Offler.

— Przecież nie ma sensu zakazywać brokułów, prawda? Taka postawa jest bardzo staroświecka. — Nuggan przyjrzał się minstrelowi. — A ten aż do tej chwili nigdy nie był jakiś szczególnie inteligentny. Mam go porazić? W tej potrawce na pewno jest jakiś czosnek. Pani McGarry wygląda na taką kobietę.

Offler zawahał się. Był bardzo starym bogiem, który powstał z parujących bagien w gorących, mrocznych krainach. Przetrwał wzloty i upadki nowszych, i z pewnością piękniejszych bóstw, rozwijając u siebie pewną dozę mądrości — to znaczy mądrości jak na boga.

Poza tym Nuggan należał do młodszych bogów, pełnych ognia piekielnych, zarozumiałości i ambicji. Offler nie był może błyskotliwy, ale niejasno wyczuwał, że na dłuższą metę przetrwanie wymaga od bóstwa czegoś więcej niż tylko braku piorunów. Żywił też całkiem nieboskie współczucie wobec każdej istoty ludzkiej, której bóg zakazywał czekolady i czosnku. Poza tym Nuggan miał niesympatyczny wąsik. Żaden bóg nie powinien się obnosić z takim wyszczotkowanym wąsikiem.

— Nie — powiedział, potrząsając kośćmi. — Fędzie lefsza zafawa.

* * *

Cohen zdusił koniec pogniecionego papierosa, wcisnął go sobie za ucho i spojrzał na zielony lód.

— Jeszcze nie jest za późno, żeby zawrócić — powiedział Złowrogi Harry.
— Gdyby ktoś miał ochotę.

— Owszem, jest za późno — odparł Cohen, nie oglądając się nawet. — Poza tym ktoś tu nie gra uczciwie.

— Właściwie to zabawne — uznała Vena. — Przez całe życie szukałam przygód ze starymi mapami znalezionymi w starożytnych grobowcach, ale nigdy się nie martwiłam, skąd pochodzą. To jedna z tych spraw, nad którymi człowiek się nie zastanawia, jak na przykład to, kto porzuca całą tę broń, klucze i zestawy medyczne, co to przewalają się w niezbadanych lochach.

— Ktoś chyba zastawia pułapkę — stwierdził Mały Willie.

— Pewno tak — zgodził się Cohen. — To nie będzie pierwsza pułapka, w którą wpadnę.

— Chcemy wystąpić przeciwko bogom, Cohenie — przypomniał Harry. — Kiedy ktoś to robi, powinien być pewien swego szczęścia.

— Moje jakoś działało, aż do teraz.

Wyciągnął rękę i dotknął skalnej ściany przed sobą.

— Ciepła.

— Przecież jest pokryta lodem!

— Tak. Dziwne, nie? Dokładnie tak, jak pisali w tych zwojach. A widzicie, jak ten lód się trzyma skały? To magia. No to... idziemy.

* * *

Nadrektor Ridcully zdecydował, że załoga powinna odbyć szkolenie. Myślak Stibbons zauważył, że wyruszają w dziedzinę zjawisk nieoczekiwanych, Ridcully zarządził więc, że otrzymają nieoczekiwane szkolenie.

Rincewind za to stwierdził, że wyruszają na pewną śmierć, co każdemu w końcu udaje się osiągnąć bez żadnego szkolenia.

Potem jednak uznał, że urządzenie Myślaka jest wystarczające. Po pięciu minutach spędzonych w nim pewną śmierć przyjąłby jako wyzwolenie.

— Znowu zwymiotował — zauważył dziekan.

— Ale idzie mu to coraz lepiej — uznał kierownik studiów nieokreślonych.

— Jak możesz tak mówić? Poprzednio wytrzymał całe dziesięć sekund, zanim popuścił.

— Tak, ale teraz wymiotuje bardziej obficie i ma większy zasięg — wyjaśnił kierownik studiów nieokreślonych, po czym oddalili się obaj.

Dziekan rozglądał się pilnie. Trudno było dostrzec aparat latający w cieniach okrytej brezentem barki. Płachty zakrywały co ciekawsze fragmenty, unosił się ostry zapach kleju i politory. Bibliotekarz, który lubił angażować się w przedsięwzięcia, zwisał swobodnie z bomu i wbijał w deskę drewniane kołki.

— To na pewno będą balony, zapamiętaj moje słowa — uznał dziekan. — Mam już w myślach pełny obraz. Balony, żagle, takielunek i tak dalej. Prawdopodobnie też kotwica. Wymyślne zabawki.

— Podobno w Imperium Agatejskim mają latawce takie wielkie, że mogą unieść człowieka — przypomniał sobie kierownik studiów nieokreślonych.

— To może on buduje tylko większy latawiec?

W pewnym oddaleniu Leonard z Quirmu siedział w plamie światła i szkicował. Od czasu do czasu oddawał arkusz czekającemu terminatorowi, który odbiegał natychmiast.

— Widziałeś, co wczoraj wymyślił? — zapytał dziekan. — Miał taki pomysł, że będą może musieli wyjść na zewnątrz maszyny, żeby ją naprawić albo co, więc zaprojektował takie urządzenie, które pozwala ci latać ze smokiem na plecach! Twierdzi, że to na sytuacje zagrożenia.

— Czy może być większe zagrożenie niż smok na plecach? — zdziwił się kierownik studiów nieokreślonych.

— Otóż to! Ten człowiek żyje w wieży z kości słoniowej!

— Naprawdę? Myślałem, że Vetinari trzyma go zamkniętego w jakiejś komórce.

— No, znaczy się, lata życia w takim zamknięciu bardzo ograniczają zasięg wizji. Nie ma właściwie nic do roboty oprócz zaznaczania kolejnych dni na murze.

— Mówią, że nieźle maluje.

— Tak, obrazy... — mruknął lekceważąco dziekan. — Ale podobno są tak dobre, że oczy podążają za patrzącym po pokoju.

— Poważnie? A co wtedy robi reszta twarzy?

— Chyba zostaje na miejscu.

— Jak dla mnie, nie brzmi to zachęcająco — stwierdził dziekan, gdy obaj wyszli już na światło dnia.

Przy swoim warsztacie, rozważając problem sterowania pojazdem, Leonard starannie narysował różę.

* * *

Złowrogi Harry zamknął oczy.

— Nie czuję się dobrze.

— To łatwe, kiedy się już przyzwyczaisz — uspokoił go Cohen. — Chodzi tylko o sposób patrzenia.

Złowrogi Harry znowu otworzył oczy.

Stał na rozległej, zielonkawej równinie, która po lewej i prawej stronie opadała łagodnie w dół. Przypominało to pozycję na wysokim, porośniętym trawą grzbiecie. Przed nimi grzbiet niknął w chmurach.

— To zwykły spacer — zapewnił stojący obok Mały Willie.

— Słuchajcie. Moje stopy nie są tutaj problemem — zapewnił Harry. — Moje stopy nie protestują, tylko mózg.

— Pomaga, jeśli sobie pomyślisz, że grunt jest za tobą — podpowiadał Mały

Willie.

— Nie — sprzeciwił się Złowrogi Harry. — Wcale nie pomaga.

Niezwyczajna właściwość Góry polegała na tym, że kiedy człowiek postawił już stopę na zboczu, kierunek stawał się kwestią osobistego wyboru. Ujmując to nieco inaczej: grawitacja była tu opcjonalna. Kierowała się pod stopy, niezależnie od tego, w którą stronę owe stopy wskazywały.

Złowrogi Harry nie rozumiał, dlaczego tylko on ma z tym kłopoty. Orda wydawała się zupełnie nieporuszona. Nawet potworny wózek inwalidzki Wściekłego Hamisha toczył się swobodnie w kierunku, który Harry do tej chwili uważał za pion. To pewnie dlatego, pomyślał, że władcy ciemności są zwykle inteligentniejsi od bohaterów. Trzeba mieć kilka działających szarych komórek, choćby po to, żeby przygotować listę płac dla pół tuzina siepaczy. A szare komórki Złowrogiego Harry'ego podpowiadały mu, żeby patrzył wprost przed siebie i starał się wierzyć, że spaceruje sobie po szerokim, miłym grzbiecie, a także by pod żadnym pozorem się nie oglądał, ponieważ za nim gnh, gnh, gnh...

— Spokojnie. — Mały Willie przytrzymał go za ramię. — Słuchaj lepiej stóp. One wiedzą, co robią.

Ku przerażeniu Harry'ego, Cohen ten właśnie moment wybrał, by się obejrzeć.

— Spójrzcie, jaki widok! — zawołał. — Można stąd zobaczyć domy!

— Och nie, proszę, nie! — jęczał Złowrogi Harry. Rzucił się na ziemię i próbował ją objąć.

— Niesamowite, nie? — powiedział Truckle. — Wszystkie te morza tak jakby wiszą nad tobą i... Co się stało Harry'emu?

— Samopoczucie mu spada — wyjaśniła Vena.

Ku zdziwieniu Cohena, na minstrelu widok nie robił szczególnego wrażenia.

— Pochodzę z gór — wyjaśnił chłopak. — Człowiek przyzwyczaja się tam do wysokości.

— Byłem już wszędzie, gdzie widać. — Cohen rozejrzał się. — Byłem tam, robiłem to... byłem tam znów, robiłem to dwa razy... Nie zostało już żadne miejsce, gdzie bym nie był...

Minstrel przyjrzał mu się uważnie i w jego wzroku pojawił się cień zrozumienia. Wiem, czemu to robisz, pomyślał. Bogom dzięki za klasyczne wykształcenie. Zaraz, jaki to był cytat?

— „Carelinus zapłakał, bowiem nie było już więcej krain do zdobycia” — powiedział.

— Co to za gość? Wspominałeś już o nim.

— Nie słyszeliście o cesarzu Carelinusie?

— Nie.

— Przecież... przecież był największym zdobywcą w historii! Jego imperium obejmowało cały Dysk. Z wyjątkiem Kontynentu Przeciwwagi i Czteriksów, ma się rozumieć.

— Nie dziwię mu się. W jednym za żadne pieniądze nie dostanie człowiek dobrego piwa, a na drugi paskudnie trudno się dostać.

— No więc kiedy dotarł aż na brzeg Muntabu, podobno stanął nad wodą i zapłakał. Jakiś filozof powiedział mu, że gdzieś tam leży więcej światów, ale że nigdy nie zdoła ich podbić. Ehm... trochę to przypomniało mi pana.

Przez chwilę Cohen maszerował w milczeniu.

— No tak — stwierdził w końcu. — Faktycznie, widzę, że to możliwe. Tylko że nie tak mazgajowato.

* * *

— W tej chwili — rzekł Myślak Stibbons — mamy czas T minus dwanaście godzin.

Siedząca na pokładzie publiczność przyglądała mu się z czujnym i uprzejmym niezrozumieniem.

— To znaczy, że machina latająca przefrunie za krawędź świata jutro tuż przed świtem — wyjaśnił Myślak.

Wszyscy zwrócili się do Leonarda, który obserwował mewę.

— Panie da Quirm — odezwał się Vetinari.

— Co? A tak. — Leonard zamrugał. — Tak. Urządzenie będzie gotowe, chociaż ciągle mam problemy z wygodką.

Wykładowca run współczesnych pogrzebał w obszernych kieszeniach swej szaty.

— Ojej, miałem tu przecież butelkę czegoś... Na mnie morze też zawsze tak wpływa.

— Miałem na myśli raczej kłopoty wynikające z rozrzedzonego powietrza i słabego ciążenia. O nich właśnie wspominał rozbitek z „Marii Pesto”. Jednak dziś po południu szczęśliwie wpadłem na pomysł wygodki, która wykorzystuje rozrzedzone na dużej wysokości powietrze dla osiągnięcia efektu zwykle uzyskiwanego dzięki ciążeniu. Oddziałuje poprzez delikatne ssanie.

Myślak skinął głową. Szybko kojarzył, gdy chodziło o techniczne szczegóły, i uformował już sobie myślowy wizerunek. Teraz przydałaby mu się myślowa gumka.

— Ehm... to dobrze — powiedział. — Większość statków w nocy pozostanie z tyłu, za barką. Nawet z magicznie wspomaganym wiatrem nie ośmielimy się zapuścić bliżej niż na trzydzieści mil od Krańca. Potem bylibyśmy porwani przez prąd i zmyci poza Krawędź.

Rincewind, który w zadumie opierał się o reling, odwrócił się, słysząc te słowa.

— Jak daleko jesteśmy od wyspy Krull? — zapytał.

— Od nich? Setki mil — uspokoił go Myślak. — Wolimy się trzymać z

daleka od tych piratów.

— Czyli... wbijemy się prosto w Obwód?

Zapadła cisza, choć tylko formalna, gdyż głośna od niewypowiedzianych myśli. Każdy z obecnych zajęty był szukaniem powodu, dla którego byłoby zbyt wielkim wymaganiem oczekiwanie, by on sam o tym pomyślał, jednocześnie będącego powodem, by oczekiwać tego od kogoś innego. Obwód był największą konstrukcją, jaką kiedykolwiek zbudowano; rozciągał się niemal na jedną trzecią krawędzi. Na dużej wyspie Krull cała cywilizacja żyła tylko tym, co z niego wydobywano. Jedli dużo sushi, a ich niechęć wobec reszty świata przypisywano trwałej niestrawności.

Patrycjusz w swoim fotelu uśmiechnął się kwaśno.

— W samej rzeczy — zgodził się. — Obwód, o ile dobrze rozumiem, sięga na kilka tysięcy mil. Jednakże, jak słyszałem, Krullianie nie trzymają już schwytanych marynarzy jako niewolników. Obciążają ich tylko rujnującymi opłatami za akcję ratunkową.

— Kilka kul ognistych rozbije Obwód na kawałki — zapewnił Ridcully.

— To jednak wymaga raczej, by znalazł się pan bardzo blisko — zauważył Vetinari. — Dokładniej mówiąc, tak blisko Wodospadu Krawędziowego, że niszczyłby pan to właśnie, co ratuje przed zmyciem poza Krawędź. To skomplikowany problem, panowie.

— Latający dywan — rzekł Ridcully. — Idealny do tego zadania. Mamy jeden w...

— Nie tak blisko Krawędzi, nadrektorze — rzekł ponuro Myślak. — Pole thaumiczne jest tam bardzo słabe, a działają też gwałtowne prądy powietrzne.

Głośno zaszeleściła przewracana strona wielkiego szkicownika.

— Aha — powiedział Leonard, mniej czy bardziej do siebie.

— Słucham? — zdziwił się Patrycjusz.

— Swego czasu, panie, zaprojektowałem prostą metodę, dzięki której bez trudu można niszczyć całe flotyle okrętów. Wyłącznie jako ćwiczenie techniczne, naturalnie.

— Ale z numeracją części i listą instrukcji?

— Oczywiście, panie. Inaczej nie byłoby to właściwe ćwiczenie. Jestem niemal pewien, że z pomocą tych magicznych dżentelmenów potrafię dostosować ową metodę do naszego celu.

Uśmiechnął się promiennie. Wszyscy spojrzeli na jego rysunek, na którym ludzie wyskakiwali z płonących okrętów do wrzącego morza.

— Robi pan takie rzeczy jako hobby? — zapytał ironicznie dziekan.

— Oczywiście. Nie mają praktycznych zastosowań.

— Ale czy ktoś nie mógłby zbudować takiego aparatu? — zdumiał się wykładowca run współczesnych. — Praktycznie rzecz biorąc, dołączył pan klej i kalkomanie.

— Cóż, zapewne istnieją tacy ludzie — zgodził się niechętnie Leonard. — Jestem jednak przekonany, że rząd powstrzymałby takie działania, zanim zaszłyby za daleko.

Uśmiechu na twarzy Vetinariego prawdopodobnie nawet Leonard z Quirmu, przy całym swym geniuszu, nie potrafiłby utrwalić na płótnie.

Bardzo ostrożnie, wiedząc, że jeśli którąś upuszczą, prawdopodobnie nawet się nie dowiedzą, że którąś upuścili, zespół studentów i terminatorów wkładał klaski ze smokami do ramy pod rufą maszyny latającej.

Od czasu do czasu któremuś ze smoków się odbijało. Wszyscy obecni — prócz jednego — zamierali na moment. Wyjątkiem tym był Rincewind, który wtedy przykucał za stosem drewna, wiele sążni od klatek.

— Zostały dobrze nakarmione specjalną karmą Leonarda i przez cztery do pięciu godzin powinny być całkiem potulne — tłumaczył Myślak, wyciągając go stamtąd po raz trzeci. — Pierwsze dwa stopnie dostawały posiłki w starannie wyliczonych odstępach czasu, więc pierwsza grupa powinna nabrać ochoty do ziania ogniem, akurat kiedy przeleciecie nad Wodospadem Krawędziowym.

— A jeśli się spóźnimy?

Myślak zastanowił się głęboko.

— Cokolwiek zrobicie — rzekł w końcu — nie spóźniajcie się.

— Dzięki.

— Te, które zabierzecie ze sobą w przelot, mogą potrzebować dokarmiania. Załadowaliśmy mieszankę ciężkiej benzyny, oleju skalnego i mialu antracytowego.

— Dla mnie, żebym tym karmił smoki?

— Tak.

— W drewnianym statku, który znajdzie się bardzo, bardzo wysoko?

— No, w technicznym sensie... tak.

— Czy moglibyśmy się skoncentrować na tym technicznym sensie?

— Ściśle mówiąc, nie będzie żadnego dołu. Jako takiego. Hm... będziecie lecieć tak szybko, można powiedzieć, że w żadnym miejscu nie znajdziecie się dostatecznie długo, by spaść. — Myślak szukał prześwytu zrozumienia na twarzy Rincewinda. — Czy też, inaczej to ujmując, będziecie spadać przez cały czas, nigdy nie trafiając w ziemię.

Nad nimi, w kolejnych rzędach klatek, smoki skwierczały z zadowoleniem. Strużki pary dryfowały wśród cieni.

— Aha — powiedział Rincewind.

— Zrozumiałeś?

— Nie. Miałem tylko nadzieję, że jeśli nic nie będę mówił, przestaniesz próbować mi to wytłumaczyć.

— Jak idzie, panie Stibbons? — zapytał Ridcully, zbliżając się na czele grupy magów.

— Wszystko zgodnie z planem, nadrektorze. Jesteśmy w czasie T minus pięć godzin.

— Naprawdę? To dobrze. Jesteśmy na kolacji za dziesięć minut.

Rincewind dostał małą kajutę z zimną wodą i biegającymi szczurami. Większą część tego, czego nie zajmowała jego koja, zajmował jego bagaż. Jego Bagaż.

Był to kufer chodzący na setkach maleńkich nóżek. O ile Rincewind się orientował, był magiczny. Miał go od lat. Rozumiał każde słowo właściciela. Niestety, słuchał mniej więcej co setnego.

— Nie będzie tam miejsca — powiedział mu Rincewind. — Zresztą wiesz, że ile razy wylatujesz w powietrze, zawsze się gubisz.

Bagaż obserwował go na swój bezoki sposób.

— Dlatego zostaniesz tu z tym miłym panem Stibbonsem, zgoda? Poza tym nigdy się dobrze nie czułeś w towarzystwie bogów. Niedługo wrócę.

Bezokie spojrzenie nie traciło intensywności.

— Tylko nie patrz tak na mnie, dobrze? — powiedział Rincewind.

Vetinari przyjrzał się trójce... jakie było to słowo?

— Panowie — rzekł, decydując się na takie, które bez wątpienia jest poprawne. — Przypadła mi rola pogratulowania wam jako... jako...

Zawahał się. Nie był człowiekiem, który delektował się kwestiami technicznymi. Jeśli o niego chodziło, to istniały dwie rozłączne kultury: jedna prawdziwa, druga złożona z ludzi, którzy lubili maszynę i jedli pizzę w nierozsądnych godzinach.

— ...jako pierwszym ludziom, którzy opuszczają Dysk z mocnym postanowieniem powrotu — kontynuował. — Waszą... misją jest wylądować na, lub w pobliżu Cori Celesti, odszukać Cohena Barbarzyńcę i jego ludzi, i wszelkimi dostępnymi środkami nie dopuścić do realizacji ich szaleńczego planu. Na pewno zaszło jakieś nieporozumienie. Nawet barbarzyńscy bohaterowie przestrzegają pewnych granic, a jedną z nich jest rozsądzenie

świata. — Westchnął. — Na ogół są do tego niedostatecznie cywilizowani — dodał. — W każdym razie... Błagamy go, żeby posłuchał głosu rozsądku et cetera. Barbarzyńcy są na ogół sentymentalni. Opowiedzcie mu o małych szczeniaczkach, które zginą, albo coś w tym rodzaju. Poza tym nie mogę wam nic doradzić. Podejrzewam, że użycie klasycznej siły nie wchodzi w grę. Gdyby Cohena łatwo dało się zabić, ktoś by to zrobił już dawno.

Kapitan Marchewa zasalutował.

— Siła to zawsze ostateczność, sir — powiedział.

— Sądzę, że dla Cohena to pierwszy wybór.

— Nie jest taki zły, jeśli tylko człowiek nagle nie wyskoczy mu za plecami — zapewnił Rincewind.

— Aha, oto głos specjalisty w naszej misji — rzucił Patrycjusz. — Mam tylko nadzieję... Co pan ma na naszywce, kapitanie?

— Dewizę misji — wyjaśnił szczerze Marchewa. — „Morituri Nolumus Mori”. Rincewind ją zaproponował.

— Wyobrażam sobie. — Vetinari chłodno spojrzał na maga. — A czy zechciałby pan przetłumaczyć na język potoczny?

— Eee... — Rincewind zawahał się, ale właściwie nie miał odwrotu. — Eee... z grubsza mówiąc, proszę pana, oznacza to „Ci, którzy mają umrzeć, wcale nie chcą”.

— Bardzo jasno wyrażone. Pochwalam pańską determinację... Tak?

Myślak szepnął mu coś do ucha.

— Aha. Właśnie dowiedziałem się, że musicie wyruszyć już wkrótce — powiedział Vetinari. — Pan Stibbons twierdzi, że istnieje sposób utrzymania z wami kontaktu, przynajmniej do chwili, kiedy znajdziecie się blisko Góry.

— Tak jest — potwierdził Marchewa. — Rozbity omniskop. Niezwykle urządzenie. Każda z części widzi to, co inne części. Zadziwiające.

— No cóż, mam nadzieję, że ta misja wysoko wzniesie was na drodze do kariery i że nie przemkniecie jak, cha, cha, meteory. Na miejsca, panowie.

— Jeszcze tylko... chciałbym zrobić ikonogram. — Myślak wysunął się do przodu, ściskając duże pudełko. — Żeby zarejestrować tę chwilę. Stańcie wszyscy na tle flagi i uśmieknijcie się, proszę... To znaczy, że kąciki ust unoszą się w górę, Rincewindzie... Dziękuję. — Myślak, jak wszyscy marni fotografowie, utrwalił moment o ułamek sekundy po tym, kiedy ich uśmiechy zeszywniały. — Czy macie jakieś ostatnie słowa?

— Chodzi ci o ostatnie słowa, zanim polecimy i wrócimy? — Marchewa zmarszczył czoło.

— Ależ tak. Oczywiście. O to mi właśnie chodzi — zapewnił Myślak, zdaniem Rincewinda o wiele za szybko. — Żywię głęboką wiarę w konstrukcje pana da Quirm i jestem przekonany, że on również.

— Ależ skąd — zaprotestował Leonard.

— Nigdy nie przejmowałem się wiarą.

— Nie?

— Nie. Rzeczy po prostu działają. A jeśli nam się nie powiedzie, nie będzie tak źle. Jeśli nie uda nam się wrócić, to i tak nie zostanie już nic, dokąd nie uda nam się wrócić, więc wszystko się zredukuje. — Uśmiechnął się radośnie. — Logika to wielka pociecha w takich chwilach; zawsze to powtarzam.

— Osobiście — rzekł kapitan Marchewa — jestem szczęśliwy, podniecony i zaszczycony, że mogę lecieć. — Stuknął w pudełko u pasa. — Poza tym zgodnie z poleceniem zabieram ze sobą ikonograf. Zamierzam wykonać wiele użytecznych i głęboko poruszających obrazków naszego świata z perspektywy kosmosu. Sprawiać może, że zobaczymy ludzkość w całkiem nowym świetle.

— Czy to właściwa chwila, by wycofać się z załogi? — spytał Rincewind, zerkając na dwóch pozostałych podróżników.

— Nie — odparł krótko Patrycjusz.

— Może powołując się na obłąd?

— Twój własny, jak przypuszczam.

— Może pan sam wybrać.

Vetinari skinął, by Rincewind podszedł bliżej.

— Można chyba stwierdzić, że człowiek musi być obłąkany, by zdecydować się na udział w takim przedsięwzięciu — szepnął. — W takim przypadku, naturalnie, masz znakomite kwalifikacje.

— A jeśli nie jestem obłąkany?

— Jako władca Ankh-Morpork mam obowiązek wysłać z tak istotną misją tylko najlepsze, najsprawniejsze umysły.

Przez moment patrzył Rincewindowi w oczy.

— Myślę, że tkwi w tym jakiś paragraf — stwierdził mag, wiedząc, że przegrał.

— Tak — przyznał Patrycjusz. — Najlepszy z możliwych.

* * *

W mroku zniknęły światła zakotwiczonych statków, kiedy barka dryfowała coraz szybciej w silnym prądzie.

— Teraz już nie ma odwrotu — stwierdził Leonard.

Zagrzechotał grom, a palce błyskawic przemaszerowały wzdłuż krawędzi świata. — Zwykły szkwał, jak przypuszczam — dodał Leonard, gdy ciężkie krople deszczu zadudniły na plandecę. — Wsiądziemy do środka? Dryfkotwy utrzymają nas dziobem do Krawędzi. Możemy posiedzieć wygodnie, czekając...

— Najpierw musimy wypuścić łodzie ogniowe — przypomniał Marchewa.

— Rzeczywiście, ależ ze mnie gapa. Zgubiłbym własną głowę.

Do ataku na Obwód poświęcono dwie szalupy. Kołysały się, zanurzone głęboko pod ciężarem zapasowych pojemników z farbą, politurą i resztkami smoczey kolacji. Marchewa po kilku próbach zapalił latarnie mimo gwałtownej wichury. Potem ustawił starannie, zgodnie z instrukcjami Leonarda.

Następnie odrzucili cumy. Uwolnione od barki szalupy odpłynęły z coraz mocniejszym prądem.

Deszcz lał strumieniami.

— A teraz wejdźmy na pokład — zaproponował Leonard, kryjąc się przed ulewą. — Filiżanka herbaty dobrze nam zrobi.

— Zdawało mi się, że postanowiliśmy nie używać na pokładzie żadnego otwartego ognia — zauważył Marchewa.

— Zabrałem specjalny dzbanek mojej konstrukcji, który utrzymuje ciepło — uspokoił go Leonard. — Albo zimno, jeśli ktoś woli. Nazwałem go Termosem Zimnym albo Gorącym. Nie mam pojęcia, w jaki sposób rozróżnia, na co mam akurat ochotę, ale mimo to jakoś działa.

Poprowadził ich po drabinie do kabiny, gdzie oświetlała trzy wiklinowe fotele umieszczone w gąszczu dźwigni, rur i sprężyn.

Załoga bywała tu wcześniej. Dobrze znali rozkład pomieszczenia. Tylko jedno wąskie łóżko stało po stronie rufy, ponieważ przewidziano, że tylko jedna osoba naraz będzie miała czas, by się przespać. Siatki wisiały umocowane do każdego fragmentu wolnej ściany, wypakowane żywnością i butelkami z wodą. Niestety, jeden z komitetów powołanych przez Vetinariego w celu niedopuszczenia, by jego członkowie przeszkadzali w czymś ważnym, skierował swą uwagę na zaopatrzenie maszyny. Zdawało się, że zapakowano materiały i sprzęt odpowiednie na każdą ewentualność, nie wyłączając zapasów z aligatorem na lodowcu.

— Tak naprawdę nikomu nie chciałem odmawiać — wyjaśnił Leonard. — Ale sugerowałem, że no... żywność skoncentrowana i posilna, i eee... o niskiej zawartości resztek... byłaby najlepsza...

Jak jeden mąż odwrócili się w fotelach, by spojrzeć na Wygódkę Eksperymentalną mod. 2. Mod. 1 działał — konstrukcje Leonarda zwykle działały — ale że kluczem jego funkcjonowania był szybki ruch wirowy wokół osi podczas użytkowania, zarzucono go po raporcie oblatywacza (Rincewinda). Stwierdził on, że cokolwiek człowiek planował, wchodząc, gdy znalazł się wewnątrz, myślał tylko o jednym: żeby wyjść.

Mod. 2 był na razie niewypróbowany. Trzeszczał złowróźnie pod ich spojrzeniami, niczym otwarte zaproszenie do zapać i kamieni nerkowych.

— Z pewnością będzie działał — oświadczył Leonard i po raz pierwszy Rincewind dosłyszał w jego głosie niepewność. — To tylko kwestia otwierania właściwych zaworów w odpowiedniej kolejności.

— A co się stanie, jeśli nie będziemy otwierać właściwych zaworów w odpowiedniej kolejności? — zainteresował się Rincewind.

— Pamiętajcie, jak wiele rzeczy musiałem wynaleźć przy budowie tego aparatu latającego...

— Jednak chcielibyśmy wiedzieć — przerwał Leonardowi mag.

— Ehm... prawdę mówiąc, jeśli nie otworzycie właściwych zaworów w odpowiedniej kolejności, szybko pożałujecie, że nie otworzyliście właściwych zaworów w odpowiedniej kolejności. — Leonard pogmerał pod fotelem i wyjął dużą metalową flaszkę o dziwnej konstrukcji. — Herbaty?

— Małą filiżankę — rzekł stanowczo Marchewa.

— Dla mnie najwyżej łyżeczkę — poprosił Rincewind. — A co to za aparat, który wisi przede mną?

— To nowe urządzenie do patrzenia za siebie — wyjaśnił Leonard. — Nazwałem je Urządzeniem do Patrzenia za Siebie.

— Patrzenie za siebie zawsze jest błędnym posunięciem — oświadczył Rincewind. — Spowalnia.

Struga deszczu zadudniła o plandekę. Marchewa spróbował zobaczyć coś przed sobą. W osłonie wycięto szczelinę, więc...

— A przy okazji, kim jesteśmy? — zapytał. — To znaczy, jak powinniśmy siebie nazywać?

— Może durniami? — zaproponował Rincewind.

— Ale oficjalnie. — Marchewa rozejrzał się po ciasnej kabinie. — I jak nazwiemy ten pojazd?

— Magowie nazywają go wielkim latawcem — odparł Rincewind. — Ale wcale nie jest podobny. Latawiec to takie coś na sznurku, co...

— Musi mieć jakąś nazwę — stwierdził Marchewa. — Wyruszenie na wyprawę pojazdem bez nazwy przynosi pecha.

Rincewind przyjrzał się dźwigniom przed swoim fotelem. W większości miały związek ze smokami.

— Siedzimy w wielkim drewnianym pudle, a za nami jest ze setka smoków, którym za chwilę zacznie się odbijać — powiedział. — Uważam, że koniecznie potrzebujemy nazwy. Tego... czy rzeczywiście potrafi pan kierować tym czymś, Leonardzie?

— Właściwie nie, ale zamierzam szybko się nauczyć.

— I to dobrej nazwy — uznał Rincewind.

Eksplozja rozjaśniła mroczny od burzy horyzont przed dziobem. Szalupy uderzyły w Obwód i wybuchnęły gwałtownym, jasnym płomieniem.

— I to zaraz — dodał Rincewind.

— Latawiec, prawdziwy latawiec, to takie śliczne zwierzątko, jakby wiewiórka. Potrafi latać, a właściwie szybować. Myślałem o niej, kiedy...

— A zatem „Latawiec” — zdecydował Marchewa. Spojrzał na przypiętą przed fotelem listę i postawił haczyk przy jednym elemencie. — Czy mam teraz odrzucić zakotwiczenie plandeki?

— Tak. Ehm... tak, proszę odrzucić — zgodził się Leonard.

Marchewa szarpnął dźwignię. Pod nimi i z tyłu rozległ się głośny plusk, a potem szum bardzo szybko sunącej liny.

— Rafa przed nami! Widzę skały! — Rincewind poderwał się i wyciągnął rękę.

Płomienie lśniły na czymś niskim i nieruchomym, otoczonym pianą przyboju.

— Nie ma odwrotu — stwierdził Leonard, gdy tonąca kotwica zerwała z „Latawca” plandekę niczym brezentową skorupkę z ogromnego jaja. Uniósł ręce i zaczął ciągnąć za rozmaite uchwyty i gałki jak organista grający fugę.

— Klapki Naoczne nr 1... zrzuczone... Pęta... zrzuczone... Panowie, kiedy powiem, każdy z was niech pociągnie za tę dużą dźwignię obok siebie.

Skały zbliżały się szybko. Biała woda na krawędzi nieskończonego wodospadu poczerwieniała od ognia i lśniła od błyskawic. Poszarpane kamienie wyrastały już o kilka sążni, żarłoczne niby zęby krokodyla.

— Teraz! Lustra... w dół! Dobrze! Mamy płomień! Teraz... co to było... Aha! Złapcie się czegoś mocno!

Wśród trzasku rozkładających się skrzydeł, w ogniu smoków „Latawiec” uniósł się z pękającej barki w burzę, ponad krawędzią świata...

Jedynym dźwiękiem był cichy szept rozcinanego powietrza. Rincewind i Marchewa wstawali z dygoczącej podłogi. Ich pilot wpatrywał się w okno.

— Spójrzcie na ptaki! Och, spójrzcie na ptaki!

W spokojnym, rozjaśnionym słońcem powietrzu poza linią sztormu ptaki tysiącami szybowały i krążyły wokół latającego statku. Przywodziły na myśl wróble próbujące atakować orła. I rzeczywiście statek wyglądał jak orzeł, który pochwycił w wodospadzie gigantycznego łososa...

Leonard stał jak oczarowany, łzy ściekały mu po policzkach.

Marchewa delikatnie stuknął go w ramię.

— Panie Leonardzie...

— Są piękne... Takie piękne...

— Panie Leonardzie, musimy pilotować to urządzenie. Pamięta pan? Drugi stopień?

— Słucham? — Artysta drgnął i fragment świadomości powrócił do jego ciała. — A tak, dobrze, oczywiście. — Usiadł ciężko w fotelu. — Tak... żeby mieć pewność... Tak. Teraz, no, teraz sprawdzimy przyrządy.

Położył drżącą dłoń na dźwigni i oparł stopy na pedałach. „Latawiec” zatoczył się w bok w powietrzu.

— Ojoj... Aha, teraz chyba mam... Przepraszam... tak... Aj, przepraszam... ojej... No, teraz...

Rincewind, przez kolejne szarpnięcie rzucony na okno, spojrzał na szeroką strugę wodospadu.

Tu i tam, do samego dołu, ze ściany białej wody sterczały wyspy wielkości gór. Lśniły w słońcu.

Miedzy nimi przesuwały się białe obłoczki. Wszędzie były ptaki — krążyły, szybowały, siedziały w gniazdach...

— Tam są lasy...Te skały wyglądają jak malutkie kraje. Są ludzie! Widzę

domy!

„Latawiec” skręcił w jakąś chmurę i Rincewind poleciał do tyłu.

— Poza Krawędzią żyją ludzie — powiedział.

— Pewnie rozbitkowie — domyślił się Marchewa.

— Tego... Chyba już wiem, o co w tym chodzi — odezwał się Leonard, patrząc nieruchomo przed siebie. — Rincewindzie, bądź tak miły i pociągnij za ten lewarek, dobrze?

Rincewind spełnił prośbę. Z tyłu coś brzęknęło i statek lekko zadrżał, gdy odpadła klatka pierwszego stopnia.

Wirowała powoli w powietrzu, a małe smoki rozkładały skrzydła i odfruwały z powrotem na Dysk.

— Myślałem, że będzie ich więcej — zdziwił się Rincewind.

— To tylko te, których użyliśmy, żeby przeskoczyć nad Krawędzią — wyjaśnił Leonard, gdy „Latawiec” skręcał leniwie. — Większość pozostałych wykorzystamy, żeby zlecieć w dół.

— W dół? — powtórzył Rincewind.

— Oczywiście. Musimy lecieć w dół, i to jak najszybciej. Nie ma czasu do stracenia.

— W dół? To nie jest odpowiednia chwila, żeby mówić o dole! Tłumaczyliście, że dookoła! Dookoła może być, ale nie w dół!

— Owszem, ale żeby przelecieć dookoła, musimy najpierw polecieć w dół. Szybko — powiedział z wyrzutem Leonard. — Zapisałem to przecież w swoich notatkach...

— W dół to nie jest kierunek, z którego byłbym zadowolony.

— Halo? Halo? — rozległ się głos w powietrzu.

— Kapitanie Marchewa — powiedział Leonard, gdy Rincewind usiadł ponury w fotelu. — Wyświadczy mi pan przysługę, otwierając tamtą skrzynkę.

Wieko odsłoniło kawałek rozbitego omniskopu i twarz Myślaka Stibbonsa.

— To działa! — Jego krzyk wydawał się stłumiony i pomniejszony, niby pisk mrówki. — Żyjecie!

— Nastąpiło oddzielenie smoków pierwszego stopnia. Wszystko idzie dobrze — zameldował Marchewa.

— Nie, wcale nie! — wrzasnął Rincewind. — Oni chcą lecieć w...

Nie oglądając się, Marchewa sięgnął poza Leonarda i naciągnął magowi na twarz kapelusz.

— Smoki drugiego stopnia są niemal gotowe do odpalenia — stwierdził Leonard. — Musimy brać się do pracy, panie Stibbons.

— Proszę prowadzić ściśle obserwacje wszystkich... — zaczął Myślak, ale Leonard uprzejmie zamknął skrzynkę.

— Do rzeczy — powiedział. — Jeśli panowie otworzycie te klamry obok was i przekręcicie te duże czerwone dźwignie, będziemy chyba gotowi do rozpoczęcia składania skrzydeł. Sądzę, że w miarę wzrostu prędkości wirniki ułatwią ten proces. Pęd powietrza podczas spadania wykorzystamy do zredukowania rozmiaru skrzydeł, które przez pewien czas nie będą nam potrzebne.

— Rozumiem to — odparł słabym głosem Rincewind. — Tyle że tego

nienawidzę.

— Jedyna droga powrotna do domu wiedzie w dół, Rincewindzie — oświadczył Marchewa, poprawiając pas bezpieczeństwa. — I załóż hełm.

— Proszę wszystkich, żeby raz jeszcze czegoś się mocno złapali — rzucił Leonard i delikatnie pociągnął lewarek. — Nie bądź taki markotny, Rincewindzie. Wyobraź sobie, że to, bo ja wiem... że to jazda na latającym dywanie.

„Latawiec” zadygotał.

I zanurkował...

I nagle Wodospad Krawędziowy znalazł się pod nimi, rozciągnięty aż po nieskończony, zamglony horyzont; sterczące skały stały się wyspami na białej ścianie.

Statek zadrżał raz jeszcze, a dźwignia, na którą Rincewind napierał, przesunęła się sama z siebie.

Nie było już żadnej trwałej powierzchni. Każdy element statku wibrował.

Rincewind wyrżał przez iluminator obok. Skrzydła, te bezcenne skrzydła, które utrzymują człowieka w powietrzu, składały się z gracją...

— Rincewindzie — powiedział Leonard, zmieniony w rozmazaną plamę na fotelu — prroszę, szarrpnij ten czarny lewarr!

Mag posłuchał polecenia, uznając, że nie może to pogorszyć ich sytuacji.

Ale się mylił. Za sobą usłyszał serię głuchych uderzeń. Setka smoków, które niedawno przetrawiły bogaty w węglowodory posiłek, zobaczyła nagle własne odbicia — rząd luster opuścił się na chwilę przed klatki.

Zionęły.

Coś trzasnęło i rozbiło się z tyłu kadłuba. Zdawało się, że gigantyczna stopa wciska załogę w oparcia foteli. Wodospad Krawędziowy rozmył się. Przekrwionymi oczami patrzyli na pędzące w dole białe morze i na dalekie gwiazdy. Nawet Marchewa przyłączył się do hymnu grozy, który brzmi:

— Aaaaaaaaaaaaaaaaaa....

Leonard próbował coś krzyknąć. Rincewind ze straszliwym wysiłkiem odwrócił swą wielką i ciężką głowę. Ledwie zrozumiał jego stęknienie:

— Biały llewarr!

Całe lata zajęło mu sięgnięcie do dźwigni. Z jakiegoś nieznanego powodu jego ręce były odlane z ołowiu.

Bezkrwiste palce z mięśniami słabymi jak sznurki zdołały jednak pochwycić dźwignię i pociągnąć ją do tyłu.

Kolejny złowróżbny brzęk wstrząsnął statkiem. Nacisk ustąpił. Trzy głowy szarpnęły się do przodu.

A potem nastąpiła cisza. Poczucie lekkości. I spokoju.

Jak we śnie Rincewind ściągnął peryskop i zobaczył, że wielka część statku w kształcie ryby pozostaje coraz dalej za nimi. Rozpadała się w locie i smoki rozprostowywały skrzydła, zawracając za rufą „Latawca”. Wspaniale. Urządzenie do patrzenia za siebie bez zwalniania? Niezbędne dla każdego tchórza.

— Muszę coś takiego zdobyć — wymruczał.

— Wydaje się, że poszło nam całkiem dobrze — stwierdził Leonard. — Jestem przekonany, że te małe zwierzątka zdołają wrócić. Podfruwając ze skały na skałę... Tak, jestem pewien, że im się uda.

— Eee... Obok mojego fotela czuję silny podmuch — poinformował Marchewa.

— A tak... Lepiej będzie trzymać hełmy w pogotowiu. Zrobiłem co mogłem, malowałem, laminowałem i tak dalej, jednak „Latawiec” nie jest, niestety, całkowicie szczelny. Ale dotarliśmy już daleko i wciąż jesteśmy w drodze — dodał radośnie. — Ktoś ma ochotę na śniadanie?

— Żołądek trochę mi... — zaczął Rincewind, ale urwał.

Łyżeczka przepłynęła obok, wirując powoli.

— Kto wyłączył dolność? — zapytał.

Leonard otworzył już usta, by wyjaśnić: „Nie, spodziewałem się tego, ponieważ wszystkie obiekty spadają z tą samą prędkością”, ale zrezygnował, gdyż nie było to najlepsze z możliwych wytłumaczeń.

— To coś takiego, co się zdarza — oświadczył tylko. — Trochę jak... eee... magia.

— Och. Naprawdę? Aha.

Filizanka odbiła się łagodnie od ucha Rincewinda. Machnął na nią ręką, a ona zniknęła gdzieś z tyłu.

— Jaka odmiana magii? — zapytał.

* * *

Magowie tłoczyli się wokół fragmentu omniskopu, patrząc, jak Myślak usiłuje go dostroić. Obraz pojawił się niczym eksplozja. Był straszny.

— Halo! Halo! Tu Ankh-Morpork!

Wykrzywiona twarz została odepchnięta i w pole widzenia wsunęła się powoli wypukła czaszka Leonarda.

— A tak — powiedział. — Dzień dobry. Mamy tu trochę... bólów ząbkowania.

Spoza wizji dobiegł odgłos kogoś, kto wymiotuje.

— Co się dzieje? — huknął Ridcully.

— Widzicie, panowie, hm... to dość zabawne. Miałem taki pomysł, żeby jedzenie umieścić w tubach. Wtedy dałoby się je wyciskać i konsumować sprawnie w warunkach nieważkości. A ponieważ, no... ponieważ nie umocowaliśmy wszystkiego, to obawiam się, że moje pudełko z farbami się otworzyło i tubki, tego... tubki się pomieszały. I to, co pan Rincewind uważał za szynkę z brokułami, okazało się zielenią leśną... właśnie.

— Czy mogę porozmawiać z kapitanem Marchewą?

— Obawiam się, że w obecnej chwili nie jest to wskazane. — Troska przesłoniła twarz Leonarda.

— Dlaczego? Też jadł szynkę z brokułami?

— Nie, wziął żółć kadmową. — Zza pleców Leonarda dobiegła seria głośnych brzęków. — Z lepszych wiadomości mogę zameldować, że Wygódka Eksperymentalna Mod. 2 wydaje się funkcjonować doskonale.

* * *

„Latawiec” w swym locie nurkowym zbliżył się znowu do Wodospadu Krawędziowego. Woda zmieniała się tutaj w wielką, wirującą chmurę mgły.

Kapitan Marchewa unosił się przy oknie i robił obrazki ikonografem.

— To niezwykle — rzekł. — Z pewnością znajdziemy tu odpowiedzi na pytania, które dręczyły ludzkość od tysiącleci.

— Świetnie — odparł Rincewind. — Czy ktoś mógłby odczepić mi patelnię od pleców?

— Um — mruknął Leonard.

Była to sylaba dostatecznie niepokojąca, by dwaj pozostali spojrzeli na niego natychmiast.

— Wydaje się, że hm... tracimy powietrze nieco szybciej, niż przewidywałem — oznajmił geniusz. — Ale jestem pewien, że kadłub nie przepuszcza więcej, niż zaplanowano. Według pana Stibbonsa także spadamy szybciej. Eee... Trudno to jakoś łącznie wyjaśnić, zwłaszcza wobec nieznanych efektów działania pola magicznego Dysku... No tak... chyba nic nam nie zagrazi, jeśli przez cały czas będziemy nosić hełmy.

— Trochę bliżej świata jest przecież mnóstwo powietrza — zauważył Rincewind. — Czy nie moglibyśmy tam podlecieć i zwyczajnie otworzyć okno?

Leonard popatrzył smętnie na kłęby mgły przesłaniającej połowę pola widzenia.

— Poruszamy się bardzo szybko — tłumaczył powoli. — A powietrze przy tej prędkości... powietrze jest... cecha powietrza to... Powiedz, co rozumiesz pod pojęciem spadającej gwiazdy?

— Niby co chce pan przez to powiedzieć? — zapytał z irytacją Rincewind.

— Że zginiemy straszną śmiercią.

— Ach, to...

Leonard zastukał we wskaźnik na zbiornikach powietrza.

— Naprawdę nie sędzę, żebym aż tak się pomylił w oblicze...

Światło zalało kabinę.

„Latawiec” wznosił się pośród smużek mgły.

Załoga patrzyła.

— Nikt nam nigdy nie uwierzy — odezwał się wreszcie Marchewa. Skierował na widok ikonograf i nawet chochlik w jego wnętrzu, należący do gatunku, który rzadko poddawał się wrażeniom, rzucił krótkie „O rany!”, nim gorączkowo wziął się do malowania.

— Ja sam nie wierzę — oświadczył Rincewind. — A przecież to widzę.

Wieża, jak gigantyczna masa skały, wyrastała z mgły. A ponad mgłą wznosiły się — ogromne jak światy — grzbiety czterech słoni. Załoga czuła się tak, jakby leciała przez wysoką na tysiące mil katedrę.

— To chyba żart — mruczał Rincewind. — Słonie podtrzymujące świat, cha, cha... I nagle człowiek je widzi...

— Moje farby, gdzie są moje farby... — mamrotał Leonard.

— Niektóre w wychodku — przypomniał mag.

Marchewa odwrócił się ze zdziwieniem.

— A gdzie jest moje jabłko?

— Co? — Rincewind zdumiał się nagłą zmianą tematu.

— Właśnie nadgryzłem jabłko, zostawiłem je w powietrzu... i zniknęło.

Statek zatrzeszczał lekko w jaskrawym blasku słońca.

A przez kabinę, wirując powoli, przepłynął ogryzek.

— Mam nadzieję, że na pokładzie jest naprawdę tylko nas trzech — rzucił z niewinną miną Rincewind.

— Nie żartuj — obruszył się Marchewa. — Właz jest szczelnie zamknięty.

— Czyli twoje jabłko samo się zjadło?

Równocześnie spojrzeli na stos pakunków w siatkach w tylnej części kabiny.

— Znaczy... możecie mnie nazywać Panem Podejrzliwym — rzekł Rincewind — ale jeśli statek jest cięższy, niż sądził Leonard, i zużywamy więcej powietrza, i jeszcze znika jedzenie...

— Nie sugerujesz chyba, że poniżej Krawędzi fruwią sobie jakieś potwory, które potrafią się przewiercić przez drewniany kadłub, co? — Marchewa dobył miecza.

— A to mi nie przyszło do głowy. Dobra robota.

— Interesujące — przyznał Leonard. — Byłaby to może krzyżówka ptaka z jakimś zwierzęciem dwudysznym. Coś podobnego do mątwy, zapewne, wykorzystujące strugi...

— Dzięki, dzięki, dzięki, tak!

Marchewa wyciągnął zwój koców ze stosu ładunków i spróbował się rozejrzeć w tylnej części kabiny.

— Chyba widziałem, że coś się poruszyło — oświadczył. — Zaraz za zbiornikami powietrza...

Schylił się pod pękiem nart i zniknął w mroku. Usłyszeli jęk.

— Co? Co? — dopytywał się Rincewind.

— Znalazłem coś... wygląda jak... skórka... — Głos Marchewy dobiegał zduszony.

— To fascynujące — stwierdził Leonard, szkicując w notesie. — Być może, po przedostaniu się na pokład gościnnego pojazdu istota taka dokonuje metamorfozy w...

Marchewa wynurzył się, niosąc nabitą na czubek miecza skórę banana.

Rincewind przewrócił oczami.

— Mam bardzo konkretne przeczucia — powiedział.

— Ja również — zgodził się Marchewa.

Zajęło im to trochę czasu, w końcu jednak zdołali odepchnąć kufer ściereczek i wtedy nie pozostały już żadne kryjówki.

Zmartwiona twarz wyjrzała z gniazda, jakie zbudował sobie jej właściciel.

— Uuk? — powiedział.

Leonard westchnął, odłożył notes i otworzył skrzynkę omniskopu. Stuknął w niego raz czy dwa, aż zamigotał i ukazał zarys głowy.

Nabrał tchu.

— Ankh-Morpork, mamy orangutana...

* * *

Cohen schował miecz.

— Nie spodziewam się, żeby wiele stworów żyło tak wysoko — rzekł.

— Teraz jest jeszcze mniej — podsumował Caleb.

Ostatnia walka skończyła się w mgnieniu oka i trzasku kręgosłupa. Jakiegokolwiek... stworzenia zastawiły pułapkę na Srebrną Ordeę, uczyniły to w końcowych momentach swego życia.

— Pierwotna magia musi tu być potężna — uznał Mały Willie. — Podejrzewam, że takie istoty uczą się nią żywić. Prędzej czy później coś nauczy się żyć w każdym miejscu.

— Na pewno ta magia dobrze robi Wściekłemu Hamishowi — zauważył Cohen. — Przysięgłbym, że nie jest taki głuchy jak przedtem.

— Co?

— MÓWIĘ, ŻE NIE JESTEŚ TAKI GŁUCHY JAK PRZEDTEM!

— Ale nie musisz tak wrzeszczeć, chłopie.

— Jak myślicie, możemy je zjeść? — zainteresował się Mały Willie.

— Pewnie będą smakować trochę jak kurczak — uznał Caleb. — Wszystko tak smakuje, jak człowiek porządnie zgłodnieje.

— Zostawcie to mnie — zaproponowała pani McGarry. — Wy rozpalcie

ogień, a ja się postaram, żeby smakowały bardziej jak kurczak niż... kurczak.

Cohen przeszedł do miejsca, gdzie minstrel siedział samotnie, zajęty szczątkami swojej lutni. Młodziakowi wyraźnie poprawił się nastrój, pomyślał Cohen. Prawie całkiem przestał jęczeć.

Usiadł obok.

— Co robisz, mały? — zapytał. — Widzę, że znalazłeś czaszkę.

— Zrobię z niej pudło rezonansowe — wyjaśnił minstrel. Zmartwił się nagle.
— Chyba tak można, prawda?

— Pewno. To dobry koniec dla bohatera, kiedy przerobią jego kości na harfę czy coś. Powinna cudownie śpiewać.

— To będzie rodzaj liry — wyjaśnił minstrel. — Niestety, trochę prymitywna.

— Tym lepiej. Świetnie się nada do starych pieśni.

— Myślałem trochę o... o sadze — wyznał minstrel.

— Zuch chłopak, brawo. Dużo rzeczenia?

— Uhm... tak. Ale pomyślałem, że zacznę od legendy, jak to Mazda wykradł ogień bogom i oddał go ludzkości.

— Ładnie — zgodził się Cohen.

— A potem kilka wersów o tym, co mu za to zrobili. — Minstrel naciągnął strunę.

— Zrobili mu? Co mu zrobili? Uczynili go nieśmiertelnym!

— Eee... no tak. W pewnym sensie.

— Co rozumiesz przez to „w pewnym sensie”?

— To klasyczna mitologia, panie Cohenie — wyjaśnił minstrel. — Myślałem, że wszyscy wiedzą. Został na wieczność przykuty do skały, a codziennie przylatuje orzeł i wydziobuje mu wątrobę.

— To prawda?

— Wspomina o tym wiele klasycznych tekstów.

— Nie jestem zapalonym czytelnikiem — wyznał Cohen. — Przykuty do skały? Za pierwsze przewinienie? I co, ciągle tam jest?

— Wieczność jeszcze się nie skończyła, panie Cohenie.

— Musiał mieć strasznie wielką wątrobę.

— Zgodnie z legendą, odrasta mu każdej nocy.

— Szkoda, że moje nerki nie potrafią — westchnął Cohen. Spojrzał na odległe chmury skrywające ośnieżony szczyt Cori Celesti. — Zniósł ogień dla wszystkich, a bogowie zrobili mu coś takiego? No to będziemy musieli się tym zająć.

* * *

Omniskop pokazywał zamieć.

— Fatalną mają pogodę tam na dole — zauważył Ridcully.

— Nie, nadrektorze, to jest interferencja thaumiczna — wyjaśnił Myślak. — Przelatują chyba pod słońcem. Obawiam się, że będzie coraz gorzej.

— Czy on naprawdę powiedział: „Ankh-Morpork, mamy orangutana”? — dopytywał się dziekan.

— Bibliotekarz jakoś dostał się na pokład — odgadł Myślak. — On potrafi znaleźć sobie ciche zakątki do drzemki. A to, obawiam się, tłumaczy wzrost ciężaru i zużycia powietrza. Ehm... muszę przyznać, że nie jestem przekonany, czy zostało im dość czasu i energii, żeby powrócić na Dysk.

— Co to znaczy: nie jestem przekonany? — zapytał Patrycjusz.

— Eee... to znaczy, że jestem przekonany, ale... Nikt nie lubi wysłuchiwać złych wieści wszystkich naraz.

Vetinari przyjrzał się wielkiemu zakłębieniu, które wypełniało prawie całą kajutę. Unosiło się w powietrzu; ukazywało cały świat, naszkicowany jarzącymi się kreskami, oraz opadającą z Krawędzi cienką, zakrzywioną linię. Kiedy patrzył, wydłużyła się odrobinę.

— Nie mogą zwyczajnie skrócić i wrócić? — zapytał.

— Nie, panie. To nie działa w taki sposób.

— Czy mogą wyrzucić bibliotekarza?

Magowie byli wstrząśnięci propozycją.

— Nie, panie — odparł Myślak. — To byłoby morderstwo.

— Tak, ale mają ocalić świat. Ginie jeden małpolud, przeżywa jeden świat. Nie trzeba być chyba magiem raketowym, żeby to sobie przeliczyć. Prawda?

— Nie możemy od nich żądać, żeby podjęli taką decyzję.

— Doprawdy? Ja takie decyzje podejmuję codziennie — oświadczył Vetinari. — Zresztą, co tam... Czego im brakuje?

— Powietrza i mocy smoków.

— Jeśli porąbią orangutana na kawałki i nakarmią nim smoki, czy nie upieką

w ten sposób dwóch pieczeni przy jednym ogniu?

Nagle ochłodzenie atmosfery powiedziało Vetinariemu, że słuchacze znów za nim nie nadążają.

— A ogień smoków jest im potrzebny do...?

— Do zamknięcia trajektorii wokół Dysku, panie. Muszą odpalić smoki w odpowiednim momencie.

Vetinari raz jeszcze przyjrzał się magicznemu modelowi świata.

— A teraz?

— Nie jestem całkiem pewien, panie. Mogą się rozbić o Dysk, ale mogą też wystrzelić prosto w nieskończoną przestrzeń.

— I potrzebują powietrza?

— Tak.

Ręka Patrycjusza przesunęła się przez kontur świata, a długi palec wskazał pewne miejsce.

— Czy tutaj jest powietrze?

* * *

— To jedzenie — stwierdził Cohen — było bohaterskie. Nie da się go określić innym słowem.

— Szczera prawda, pani McGarry — zgodził się Złowrogi Harry. — Nawet kurczak nie smakuje tak bardzo jak kurczak.

— A macki prawie wcale nie psuły smaku — dodał z entuzjazmem Caleb.

Siedzieli i podziwiali widok. To, co kiedyś było światem w dole, teraz stało się światem z przodu, wyrastającym przed nimi jak nieskończony mur.

— Co to jest, o tam? — Cohen wskazał palcem.

— Dzięki, przyjacielu — mruknął z wyrzutem Złowrogi Harry i odwrócił wzrok. — Ale wolałbym, żeby... kurczak pozostał tam, gdzie jest. Jeśli ci to nie przeszkadza.

— To Wyspy Dziewicze — wyjaśnił minstrel. — Nazwa pochodzi od tego, że jest ich tak wiele.

— A może tak trudno je znaleźć — wtrącił Truckle Nieuprzejmy. — He, he, he.

Czknął.

— Można stund zobaczyć gwiazdy — zauważył Wściekły Hamish. — Chociaż to dzień.

Cohen uśmiechnął się szeroko. Wściekły Hamish nieczęsto uczestniczył w rozmowie.

— Mówią, że każda z nich jest światem — oświadczył Złowrogi Harry.

— Jasne — mruknął Cohen. — Ile ich jest, bardziej?

— Nie wiem. Tysiące. Miliony.

— Miliony światów, a nam zostało... Ile? Ile masz lat, Hamish?

— Co? Żem się urodził tego dnia, kiedy umarł stary than.

— Kiedy to było? Który stary than? — pytał cierpliwie Cohen.

— Co? Przecie żem nie jest uczonym. Nie pamiętam takich gupot!

— Może ze sto lat — podsumował Cohen. — Sto lat. A są miliony światów.

— Zaciągnął się papierosem i potarł czoło grzbietem kciuka. — Draństwo.

Skinął na minstrela.

— A co robił twój kumpel Carelinus, kiedy już wysmarkał sobie nos?

— Nie powinniście go lekceważyć — oburzył się minstrel. — Zbudował ogromne imperium... Za wielkie, szczerze mówiąc. I pod wieloma względami był do was podobny. Nie słyszeliście o Węźle Tsortyjskim?

— Brzmi jak jakieś świństwo — uznał Truckle. — He, he, he.

Minstrel westchnął.

— To był bardzo duży i skomplikowany węzeł, wiążący ze sobą dwie belki w świątyni Offlera w Tsorcie. Legenda mówiła, że kto zdoła go rozwiązać, zostanie władcą kontynentu.

— Takie węzły mogą być trudne — przyznała pani McGarry.

— Carelinus rozciął go mieczem! — oznajmił minstrel. Ujawnienie tego dramatycznego gestu nie wywołało jednak reakcji, jakiej oczekiwał.

— Czyli był też oszustem, nie tylko maminsynkiem? — upewnił się Mały Willie.

— Nie. To był dramatyczny, nie, proroczy gest!

— Owszem, zgadza się, ale trudno to uznać za rozwiązanie. Znaczy, przecież było powiedziane: rozwiązać. Nie rozumiem, czemu niby...

— Nie, nie. Chłopak ma trochę racji — przerwał Cohen, który wyraźnie przemyślał sobie tę kwestię. — To nie było oszustwo, bo to dobra historia. Tak. To rozumiem. — Parsknął śmiechem. — I mogę sobie wyobrazić. Banda smętnych kapłanów i różnych takich stoi dookoła i wszyscy myślą:

„To oszustwo, ale chłopak ma naprawdę wielki miecz, więc nie będę pierwszy, który mu to powie... A na dodatek jeszcze bardzo wielką armię na zewnątrz”. Ha. Tak. Hm... A co zrobił potem?

— Podbił większą część znanego świata.

— Zuch chłopak. A potem?

— Potem, no... wrócił do domu, panował przez kilka lat, później umarł, jego synowie się pokłócili, wybuchło parę wojen... i to był koniec imperium.

— Tak, dzieci potrafią sprawiać kłopoty — westchnęła Vena, pochylona nad robótką. Haftowała niezapominajki dookoła napisu SPAL TEN DOM.

— Niektórzy uważają, że poprzez dzieci osiąga się nieśmiertelność — zauważył minstrel.

— Tak? — rzucił złośliwie Cohen. — To powiedz, jak miał na imię chociaż jeden twój pradziad.

— No... tego...

— Właśnie. Ja na przykład mam kupę dzieciaków. Większości nigdy nie

widziałem. Wiesz, jak to jest. Ale wszystkie mają piękne, silne matki i mam wściekłą nadzieję, że żyją dla siebie, nie dla mnie. Dużo dobrego przyszło temu twojemu Carolinusowi z synów, którzy stracili jego imperium.

— Ale prawdziwy historyk mógłby wam powiedzieć o wiele więcej...

— Ha! Liczy się to, co pamiętają zwykli ludzie. Pieśni i opowieści. Nieważne, jak żyłeś i umarłeś, ale jak opowiadają to bardowie.

Minstrel poczuł na sobie skupiony wzrok wszystkich obecnych.

— Ehm... robię dużo notatek — zapewnił.

* * *

— Uuk — powiedział bibliotekarz tytułem wyjaśnienia.

— Mówi, że potem coś mu spadło na głowę — tłumaczył Rincewind. — To pewnie było wtedy, kiedy zanurkowaliśmy.

— Możemy wyrzucić trochę tych rzeczy? — zaproponował Marchewa. — Większość i tak nie będzie nam potrzebna.

— Niestety nie — odparł Leonard. — Stracimy powietrze, jeśli otworzymy właz.

— Ale przecież mamy te hełmy do oddychania — zauważył Rincewind.

— Trzy hełmy — przypomniał Leonard.

Omniskop zatrzeszczał. Nie zwrócili na niego uwagi. „Latawiec” wciąż mknął pod słoniami i aparat pokazywał głównie coś w rodzaju magicznego śniegu.

Rincewind jednak zerknął w tamtą stronę. Wśród zamieci zobaczył kogoś trzymającego arkusz papieru, na którym wielkimi literami napisano: PRZYGOTUJCIE SIĘ.

* * *

Myślak pokręcił głową.

— Dziękuję, nadrektorze. Jestem teraz zbyt zajęty, by przyjąć pana pomoc.

— Ale czy to się uda?

— Musi. To szansa jedna na milion.

— W takim razie nie ma powodu do zmartwienia. Wszyscy wiedzą, że szanse jedne na milion zawsze się sprawdzają.

— Oczywiście, nadrektorze. Dlatego muszę tylko wyliczyć, czy na zewnątrz statku jest jeszcze dość powietrza, żeby Leonard mógł nim sterować, albo ile smoków musi odpalić i na jak długo, i czy zostanie dość energii, żeby znowu mogli wystartować. Wydaje mi się, że lecą z mniej więcej właściwą prędkością, ale nie jestem pewien, ile ognia zostało smokom, nie wiem na jakiej powierzchni wylądują, ani co tam znajdą. Mogę przystosować kilka zaklęć, ale nie były stworzone do takich rzeczy.

— Zuch chłopak — pochwalił go Ridcully.

— Czy możemy zrobić coś jeszcze, żeby pomóc? — chciał wiedzieć dziekan.

Myślak spojrzał rozpaczliwie na grupę magów. Jak by to rozwiązał Vetinari?

— Ależ oczywiście — zapewnił entuzjastycznym tonem. — Może zechcielibyście znaleźć jakąś wolną kajutę, naradzić się i przygotować listę możliwych sposobów rozwiązania tego problemu. A ja tutaj przetestuję kilka pomysłów.

— To mi się podoba — rzekł dziekan. — Młody człowiek, który ma dość rozsądku, by wykorzystać mądrość starszych od siebie.

Kiedy wychodzili, Vetinari rzucił Myślakowi lekki uśmiezek.

W nagłej ciszy kajuty Myślak... no, myślał. Patrzył na obraz z zaklęcia, chodził dookoła, powiększał niektóre fragmenty, przyglądał się im, przerzucał notatki na temat energii smoczego lotu, wpatrywał się w model „Latawca” i bardzo dużo czasu poświęcał gapieniu się w sufit.

Nie była to typowa metoda pracy maga. Mag wyewoluował życzenie, a potem stworzył rozkaz. Nie przejmował się specjalnie obserwowaniem wszechświata; kamienie, drzewa i chmury nie mogły mieć nic inteligentnego do przekazania. Przecież nawet nie miały na sobie napisów.

Myślak patrzył na cyfry, które zapisał. Jako obliczenia, przypominały raczej układanie piórka na bańce mydlanej, której wcale nie ma.

Dlatego zgadywał.

* * *

Na „Latawcu” o sytuacji dyskutowano na „warsztatach”. To znaczy, że ludzie, którzy nic nie wiedzą, zbierają się wspólnie, by połączyć swoją ignorancję.

— Czy nie moglibyśmy wszyscy przez jedną czwartą czasu wstrzymywać oddech? — zaproponował Marchewa.

— Nie. Oddychanie nie działa w taki sposób, niestety — odparł Leonard.

— Może powinniśmy przestać rozmawiać? — próbował Rincewind.

— Uuk — powiedział bibliotekarz, wskazując rozmyty ekran omniskopu.

Ktoś na nim trzymał kolejny plakat. Z trudem odczytali słowa:

TO MACIE ZROBIĆ:

Leonard chwycił ołówek i zaczął gorączkowo notować w rogu rysunku maszyny do podkopywania miejskich murów.

Pięć minut później odłożył go.

— Zadziwiające — stwierdził. — On chce, żebyśmy skierowali „Latawiec” w całkiem innym kierunku i polecieeli szybciej.

— Dokąd?

— Nie powiedział. Ale... no tak. Mamy lecieć wprost na słońce.

Leonard rzucił im swój zwykły promienny uśmiech. Odpowiedziały mu trzy tępe spojrzenia.

— To oznacza, że musimy odpalić jednego czy dwa pojedyncze smoki, by wykonać manewr, a potem...

— Słońce... — powtórzył Rincewind.

— Jest gorące — dodał Marchewa.

— Tak, i z pewnością wszyscy bardzo się z tego cieszymy — odparł Leonard, rozwijając plan „Latawca”.

— Uuk!

— Słucham?

— Powiedział: A ta łódź jest zrobiona z drewna!

— Wszystko to w jednej sylabie?

— Jest bardzo zwięzły. Proszę posłuchać, Stibbons musiał się pomylić. Nie ufałbym magowi, gdyby mi pokazał, jak dotrzeć pod drugą ścianę w bardzo małym pokoju.

— Ale ten wydaje się bardzo błyskotliwym młodym człowiekiem — zauważył Marchewa.

— Też będziesz błyszczał, jeśli zostaniesz w tej maszynie, kiedy uderzy w słońce — odparł Rincewind. — Wręcz oślepiająco.

— Możemy skierować tam „Latawca”, jeśli będziemy niezwykle ostrożnie manipulować prawoburtowymi i lewoburtowymi lustrami — mruczał w zadumie Leonard. — Metoda prób i błędów może się okazać niezbędna...

— Aha, chyba już to opanowałem — uznał Leonard. Odwrócił małą klepsydrę. — A teraz wszystkie smoki przez dwie minuty...

— Myślę, że jednak nammm powwie, ccco potttem! — zawołał Marchewa wśród brzęków i trzeszczenia sprzętu za nimi.

— Pann Ssstibbonss ma zza sssobą dwwa tysssiące latt dośwwiadczenia bbbadań uniwwerssytecckich! — krzyknął Leonard, ledwie słyszalny w zgiełku.

— A ille zz tego dotttyczy sssterowwania lattającymi ssstattkami zze sssmokami?! — wrzasnął Rincewind.

Leonard schylił się, pokonując nacisk grawitacji domowej roboty, i spojrzał na klepsydrę.

— Około ssstu sssekunnd!

— Ach! Tto właśściwwie traddyccja!

Smoki gasły kolejno. Raz jeszcze rozmaite przedmioty zaczęły unosić się w powietrzu.

Zobaczyli słońce. Ale nie było już okrągłe. Coś wycięło mu kawałek obwodu.

— Aha! — ucieszył się Leonard. — Bardzo sprytne. Panowie, oto księżyc!

— Znaczy, zamiast w słońce, uderzymy w księżyc? — upewnił się Marchewa. — To niby lepiej?

— Też tak sobie pomyślałem — zgodził się Rincewind.

— Uuk!

— Nie sędę, żebyśmy bardzo szybko lecieli — uspokoił ich Leonard. — Tylko doganiamy księżyc. Pan Stibbons chce pewnie, żebyśmy na nim wylądowali.

Rozprostował palce.

— Jest tam trochę powietrza, to pewne — podjął. — Co oznacza, że znajdzie się też coś, czym możemy nakarmić smoki. Potem, i to bardzo sprytny pomysł, polecimy na księżycu, dopóki nie wzejdzie nad Dyskiem, a wtedy wystarczy nam opaść delikatnie.

Kopnął w blokadę uwalniającą skrzydła. Kabina zatrzęsa się od wirowania kół zamachowych. „Latawiec” po obu stronach wysunął płaty.

— Jakież pytania?

— Staram się pomyśleć o wszystkim, co może się nie udać — powiedział Marchewa.

— Ja doszedłem już do dziewięciu — oświadczył Rincewind. — A jeszcze nie myślałem o drobnych szczegółach.

Księżyc rósł powoli — ciemna kula przesłaniająca światło dalekiego słońca.

— Według mnie — rzekł Leonard, gdy zaczęła wypełniać sobą okna — księżyc, jako mniejszy i lżejszy, może zatrzymać tylko obiekty lekkie, na przykład powietrze. Rzeczy cięższe, jak na przykład „Latawiec”, z trudem

zdołają się utrzymać na powierzchni.

— To znaczy...? — spytał Marchewa.

— No... powinniśmy opaść delikatnie. Ale trzymanie się czegoś to chyba dobry pomysł.

Wylądowali. To krótkie zdanie, zawiera w sobie jednak sporo wydarzeń.

* * *

Na statku panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu morza i nerwowego mamrotania Myślaka Stibbonsa, który usiłował wyregulować omniskop.

— Te krzyki... — odezwał się po chwili Mustrum Ridcully.

— Ale potem krzyknęli jeszcze raz, kilka sekund później — przypomniał

Vetinari.

— A po kilku sekundach znowu — dodał dziekan.

— Myślałem, że omniskop może zajrzeć wszędzie — powiedział Vetinari, patrząc, jak pot ścieka z czoła Myślaka.

— Odpryski, tego, tracą chyba stabilność, jeśli są zbyt daleko od siebie — wyjaśnił Myślak. — No i... Nadal mamy parę tysięcy mil świata i słoni między nimi. Aha...

Omniskop zamigotał, po czym znowu zgasł.

— Dobry mag, ten Rincewind — rzucił kierownik studiów nieokreślonych.
— Może niezbyt błyskotliwy, ale szczerze powiem, że nigdy nie pochwalałem tej całej inteligencji. Przereklamowany talent.

Uszy Myślaka spłonęły czerwienią.

— Może powinniśmy umieścić niedużą tabliczkę gdzieś na uniwersytecie — zaproponował Ridcully. — Nic krzykliwego, naturalnie.

— Czyżbyście zapomnieli, panowie? — wtrącił Vetinari. — Niedługo nie

będzie już uniwersytetu.

— Aha. No cóż, zatem drobna oszczędność...

— Halo! Halo! Jest tam kto?

I rzeczywiście był: wyglądająca z omniskopu niewyraźna, ale rozpoznawalna twarz.

— Kapitan Marchewa! — huknął Ridcully. — Jak pan zdołał zmusić to do działania?

— Właśnie przestałem na tym siedzieć, proszę pana.

— Nic wam się nie stało? — spytał Myślak. — Słyszeliśmy krzyki!

— To wtedy, kiedy uderzyliśmy o grunt.

— Ale potem znowu słyszeliśmy krzyki.

— To prawdopodobnie wtedy, kiedy uderzyliśmy o grunt po raz drugi.

— A trzeci raz?

— Znowu grunt. Można powiedzieć, że przez jakiś czas lądowanie było niezbyt... stanowcze.

Patrycjusz pochylił się nad omniskopem.

— Gdzie jesteście?

— Tutaj, proszę pana. Na księżycu. Pan Stibbons miał rację. Rzeczywiście jest tu powietrze. Trochę rzadkie, ale wystarczające, jeśli już człowiek zaplanował sobie oddychanie.

— Pan Stibbons miał rację, tak? — Ridcully spojrzał na Myślaka. — W jaki sposób przewidział pan to tak dokładnie, panie Stibbons?

— Ja, tego... — Myślak poczuł na sobie spojrzenia magów. — Ja... — urwał.
— Po prostu zgadłem, nadrektorze.

Magowie odprężyli się. Inteligencja bardzo ich niepokoiła, ale zgadywanie to coś, o co naprawdę chodzi w byciu magiem.

— Dobra robota. — Ridcully pokiwał głową. — Proszę wytrzeć czoło, panie Stibbons. Znowu nam się udało.

— Pozwoliłem sobie poprosić Rincewinda, żeby zrobił obrazek, jak wbijam w grunt flagę Ankh-Morpork i obejmuję księżyc we władanie w imieniu wszystkich narodów Dysku, wasza wysokość — mówił dalej Marchewa.

— Bardzo... patriotyczne — mruknął Patrycjusz. — Może nawet kiedyś je zawiadomię.

— Niestety, nie mogę tego pokazać przez omniskop, ponieważ wkrótce potem coś zjadło flagę. Tutaj... nie wszystko jest takie, jak się spodziewaliśmy.

* * *

Stanowczo były to smoki. Rincewind nie miał wątpliwości. Jednak normalne smoki bagienne przypominały tylko w taki sposób, jak chart przypomina małe, szczekliwe pieski z dużą liczbą Z i X w imionach.

Zdawało się, że składają się tylko z nosa i smukłego ciała, z dłuższymi łapami niż odmiana bagienna; były tak srebrzyste, że sprawiały wrażenie księżycowego światła wykutego w kształt zwierzęcia.

I zionęły ogniem. Jednak nie z tego końca, który Rincewind do tej pory kojarzył ze smokami.

Najdziwniejsze zaś, jak stwierdził Leonard, że kiedy już człowiek przestał narzekać na ich budowę, nabierała wiele sensu. To przecież głupio, na przykład, żeby stworzenie latające posiadało broń, której użycie zatrzymuje je w powietrzu.

Smoki wszelkich rozmiarów otaczały „Latawiec” i obserwowały go z ciekawością saren. Od czasu do czasu jeden czy dwa podskakiwały i odlatywały pchane ogniem, ale zaraz inne lądowały, by dołączyć do stada. Patrzyły na członków załogi, jakby oczekiwały, że zaczną pokazywać sztuczki albo wygłoszą mowę.

Była tu także zieleń, tyle że była srebrzysta. Księżycowa roślinność pokrywała niemal całą powierzchnię. Trzeci podskok „Latawca” i długi poślizg pozostawiły w niej wyraźną bruzdę. Liście...

— Nie ruszaj się, co? — Rincewind znów skupił uwagę na pacjencie, bo bibliotekarz zaczął się szarpać. Zasadniczy problem przy bandażowaniu głowy orangutana to wiedzieć, kiedy skończyć. — Sam jesteś sobie winien — tłumaczył. — Uprzedzałem przecież. Małe kroki, mówiłem. A nie wielkie skoki.

Marchewa i Leonard podskokami obchodzili „Latawiec” dookoła.

— Prawie nie ma uszkodzeń — stwierdził wynalazca, opadając wolno na ziemię. — Cała konstrukcja zadziwiająco dobrze przetrwała uderzenie. W dodatku dziób jest lekko uniesiony. Przy tej ogólnej lekkości powinno to zupełnie wystarczyć do ponownego startu, choć może wystąpić pewien niewielki problem... Uciekaj stąd, dobrze?

Machnięciem odpędził małego srebrnego smoka, który obwąchał „Latawiec”. Zwierzak wystartował pionowo w górę na igłę błękitnego płomienia.

— Nie mamy już karmy dla smoków — uprzedził Rincewind. — Sprawdzalem. Zbiornik paliwa pękł, kiedy wylądowaliśmy po raz pierwszy.

— Możemy je nakarmić tymi srebrnymi roślinami, prawda? — zaproponował Marchewa. — Tutejszym one chyba smakują.

— Czy to nie wspaniałe istoty? — zachwycił się Leonard, gdy eskadra smoków przefrunęła im nad głowami.

Odwrócili się, by na nie popatrzeć, a potem spojrzeli dalej. Chyba nie ma granicy, ile razy może człowieka zadziwić ten sam widok.

Księżyc wschodził nad światem i głowa słońca wypełniła sobą połowę nieba.

Była... po prostu wielka. Zbyt wielka, by ją opisać.

Czterej podróżnicy bez słowa wspięli się na niewielki wzgórek, by lepiej widzieć, i przez długą chwilę stali w milczeniu. Obserwowały ich ciemne oczy wielkości oceanów. Ogromne sierpy kłów przesłaniały gwiazdy.

Nie było słychać żadnego dźwięku prócz z rzadka cichego pstryknięcia i szelestu, gdy chochlik w ikonografie malował obrazek za obrazkiem.

Przestrzeń nie była wielka. Była po prostu niczym, a zatem — z punktu widzenia Rincewinda — nie było wobec czego odczuwać pokory. Ale świat był wielki, a słoń ogromny.

— Który to z nich? — zapytał po chwili Leonard.

— Nie wiem — odpowiedział mu Marchewa. — Właściwie nie jestem pewien, czy kiedykolwiek w to wierzyłem. No, wie pan... w tego żółwia, słońce i całą resztę. I teraz, widząc to wszystko, czuję się bardzo... bardzo...

— Przerażony? — podpowiedział Rincewind.

— Nie.

— Niespokojny?

— Nie.

— Łatwo zastraszony?

— Nie.

Za Wodospadem Krawędziowym, pod białymi strzępami chmur, pojawiały się w polu widzenia kontynenty Dysku.

— Wiecie... z tak wysoka... prawie nie widać granic między państwami — stwierdził tęsknie Marchewa.

— To jakiś kłopot? — zdziwił się Leonard. — Chyba dałoby się coś z tym zrobić.

— Może duże, ale naprawdę duże budynki stojące rzędami wzdłuż linii granicznych — zaproponował Rincewind. — Albo... albo bardzo szerokie drogi. Można pomalować je na różne kolory, żeby nie było nieporozumień.

— Nie sugeruję przecież... — zaczął Marchewa. Potem urwał i tylko westchnął.

Patrzyli dalej, zafascynowani. Małeńkie iskierki na niebie wskazywały, gdzie kolejne stada smoków przelatują pomiędzy Dyskiem i księżycem.

— W domu nigdy takich nie widzimy — poskarżył się Rincewind.

— Podejrzewam, że smoki bagienne, małe biedactwa, są potomkami tutejszych — oświadczył Leonard. — Przystosowanymi do gęstego powietrza.

— Zastanawiam się — rzekł Marchewa — co jeszcze żyje tu w dole, o czym nic nie wiemy.

— No, zawsze pozostają jeszcze te niewidzialne stwory podobne do mątw, które wysysają całe powietrze z... — zaczął Rincewind, ale sarkazm nie działał tu zbyt dobrze. Wszechświat go rozcieńczał. Wielkie, poważne oczy na niebie go wysuszały.

Poza tym było tutaj zwyczajnie... za dużo. Wszystkiego za dużo. Nie był przyzwyczajony do oglądania tak wielkiej części wszechświata za jednym rzutem oka. Błękitny dysk świata, odsłaniający się z wolna w miarę wschodu księżyca, sprawiał wrażenie przytłoczonego.

— Wszystko jest za wielkie — mruknął Rincewind.

— Tak.

— Uuk.

Nie mieli nic do roboty. Mogli tylko czekać na wschód księżyca. Albo opadnięcie Dysku.

Marchewa ostrożnie wyjął małego smoka z kubka kawy.

— Te małe wszędzie się pchają — stwierdził. — Jak kociaki. Ale dorosłe utrzymują dystans i tylko patrzą.

— Czyli też jak koty — uznał Rincewind. Uniósł kapelusz i wyplątał smoka z włosów.

— Może powinniśmy zabrać kilka z powrotem?

— Wszystkie zabierzemy, jeśli nie będziemy uważać.

— Przypominają trochę Errola. — Marchewa westchnął. — Wiecie, tego smoka, który był maskotką straży. Uratował miasto, ponieważ nauczył się,

eee... ziać ogniem do tyłu. Wszyscy myśleliśmy, że to nowa odmiana smoka — dodał — ale teraz wygląda na to, że cofnął się w rozwoju. Czy pan Leonard wciąż jest na zewnątrz?

Obejrzeni się na Leonarda, który wziął sobie pół godziny wolnego, żeby coś namalować. Mały smok przysiadł mu na ramieniu.

— Powiedział, że nigdy już nie zobaczy takiego światła — wyjaśnił Rincewind. — I że musi namalować obraz. Dobrze mu idzie, mimo wszystko.

— Mimo jakie wszystko?

— Mimo że dwie tubki, jakich używa, zawierają pastę pomidorową i ser topiony.

— Powiedziałaś mu?

— Nie mogłem. Miał tyle entuzjazmu...

— Lepiej zacznijmy już karmić smoki. — Marchewa odstawił kubek.

— Dobrze. Czy mógłbyś odczepić mi tę patelnię od włosów? Proszę.

* * *

Pół godziny później migotanie ekranu omniskopu rozjaśniło kajutę Myślaka.

— Nakarmiliśmy smoki — poinformował Marchewa. — Rośliny tutaj są... dziwne. Wyglądają jak zrobione z jakiegoś szklistego metalu. Leonard przedstawił dość niezwykłą teorię, że w ciągu dnia absorbują światło słoneczne, a potem jarzą się nocą, w ten sposób tworząc „blask księżyca”. Smokom bardzo chyba zasmakowały. W każdym razie niedługo odlatujemy. Chcę jeszcze zebrać trochę kamieni.

— Jestem przekonany, że się do czegoś przydadzą — mruknął Vetinari.

— Szczerze mówiąc, panie, będą bardzo cenne — zapewnił Myślak Stibbons.

— Doprawdy?

— Oczywiście. Mogą się okazać całkowicie różne od kamieni na Dysku!

— A jeśli będą dokładnie takie same?

— Och, to będzie jeszcze ciekawsze!

Vetinari przyjrzał mu się bez słowa. Potrafił sobie radzić z większością typów umysłu, jednak ten, który najwyraźniej kierował Myślakiem Stibbonsem, należał do odmiany, dla której Patrycjusz musiał jeszcze znaleźć punkty zaczepienia. Najlepiej więc kiwać głową, uśmiechać się i podawać mu kawałki maszynerii, które wyraźnie uznawał za bardzo ważne. Inaczej mógłby wpaść w amok.

— Dobra robota — pochwalił. — No tak, oczywiście... te kamienie mogą przecież zawierać jakieś cenne minerały, może nawet diamenty?

Myślak wzruszył ramionami.

— Nic o tym nie wiem. Ale mogą nam wiele powiedzieć o historii księżyca.

Patrycjusz zmarszczył brwi.

— Historii? — zdziwił się. — Przecież tam nikt... To znaczy brawo. Powiedz, młody człowieku, czy masz tu całą maszynierię, jakiej potrzebujesz?

* * *

Smoki bagienne przeżuwały księżycowe liście. Liście były metaliczne, o szklistej powierzchni, a kiedy smoki je nadgryzały, na ich zębach pojawiały się drobne, niebieskie i zielone iskierki. Podróżnicy znieśli całe stosy liści i wysypali je przed klatkami.

Niestety, jedynym badaczem, który mógłby zwrócić uwagę, że księżycowe smoki z rzadka zjadają pojedynczy liść, był Leonard, a on zajął się malowaniem.

Smoki bagienne za to przystosowały się do zjadania dużych ilości pożywienia w energetycznie ubogim środowisku Dysku.

Żołądki, przyzwyczajone do transmutacji odpowiednika czerstwych ciasteczek w użyteczny płomień, przyjmowały teraz wielkie porcje dielektrycznych powierzchni naładowanych niemal czystą energią. Był to dla nich pokarm bogów.

Pozostało tylko kwestią czasu, nim któremuś ze smoków się odbije.

Cały Dysk był... Właściwie stanowiło to pewien problem, w każdym razie z punktu widzenia Rincewinda. Teraz leżał w dole. Wyglądał na leżący w dole,

nawet jeśli naprawdę był raczej z przodu. Rincewind nie mógł się pozbyć strasznego przeczucia, że kiedy tylko „Latawiec” wystartuje, zwyczajnie spadnie między te odległe, pierzaste chmury.

Bibliotekarz pomagał mu wciągnąć skrzydło po jego stronie — Leonard przygotowywał się do odlotu.

— No niby wiem, że mamy skrzydła i w ogóle — tłumaczył mag. — Po prostu nie czuję się dobrze w otoczeniu, gdzie wszystkie kierunki to dół.

— Uuk.

— Nie wiem, co właściwie mam mu powiedzieć. „Nie rozsadzaj świata” to bardzo przekonujący argument jak dla mnie. Ja bym posłuchał. Poza tym nie podoba mi się pomysł wyprawy w bliskie okolice bogów. Wiesz, oni nas traktują jak zabawki.

I nie zdają sobie sprawy, dodał już w myślach, jak łatwo urywają się nam ręce i nogi.

— Uuk?

— Słucham? Naprawdę?

— Uuk.

— Istnieje... bóg mały?

— Uuk?

— Nie, nie, w porządku, dlaczego by nie. Ale to nie któreś z naszych lokalnych bóstw?

— Iik.

— Aha, Kontynent Przeciwwagi... No tak, oni tam... — spojrzał w okno i zadrżał — ...tam na dole wierzą chyba we wszystko.

Stuknęło głośno, kiedy zaskoczyła zapadka.

— Dziękuję, panowie — powiedział Leonard. — Jeśli zechcecie teraz zająć miejsca, możemy...

Wstrząs eksplozji zakołysał „Latawcem” i przewrócił Rincewinda.

— To ciekawe, jeden ze smoków najwyraźniej odpalił trochę wcześniej...

* * *

— Oto! — powiedział Cohen, stając w bohaterskiej pozie.

Srebrna Orda rozejrzała się niepewnie.

— Oto co? — spytał Złowrogi Harry.

— Oto świątynie bogów! — rzekł Cohen, znów stając w odpowiedniej pozie.

— No tak, widzimy — zapewnił go Caleb. — Jakoś ci plecy zeszywniały czy co?

— Zapisz, że rzekłem „Oto!” — Cohen zwrócił się do minstrela. — Nie musisz notować całej reszty.

— A czy mógłbyś powiedzieć...

— Rzec!

— Przepraszam, rzec: „Oto cytadele bogów”? Takie zdanie ma lepszy rytm.

— Ha! To mi coś przypomina — wtrącił Truckle. — Pamiętasz, Hamish? Ty i ja zaciągnęliśmy się do księcia Leofrica Legalnego, kiedy dokonał inwazji na Nictofiord.

— Nu, pamiętam.

— Przekłeta bitwa trwała pięć dni — opowiadał Truckle — bo księżna wyszywała gobelin dla jej upamiętnienia. Tak było. Musieliśmy ciągle powtarzać walki, a kosztowało to jak demony, zwłaszcza kiedy zmieniała igły. Na polu bitwy nie ma miejsca dla mediów, zawsze to powtarzam.

— Aha! I pamiętam, jak żeś zrobił nieprzyzwoity gest w stronę dam. — Hamish zarechotał głośno. — Widział żem potem ten gobelin w zamku Rosante, lata później, ale od razu żem poznał, że to ty!

— He, he, he... — zaśmiał się Truckle.

— Cieszcie się — burknął Cohen. — Ale co się dzieje z tymi bohaterami, którzy nie są zapamiętani w pieśniach i sagach? No? Co o nich powiecie?

— Co? Jacy bohaterowie, co nie są pamiętani w pieśniach i sagach?

— No właśnie!

— Jaki jest plan? — zainteresował się Złowrogi Harry, który obserwował migotliwy blask nad miastem bogów.

— Plan? — zdziwił się Cohen. — Myślałem, że wiesz. Zamierzamy przekraść się do środka, rozbić zapalnik i uciekać jak wszystkie demony.

— No tak, ale jak planujecie tego dokonać? — nie ustępował Harry. Westchnął ciężko, widząc ich miny.

— Nie macie planu, prawda? — stwierdził ze znużeniem. — Zamierzaliście po prostu wbiec tam pędem. Bohaterowie nigdy nie planują. Plany zawsze zostają do opracowywania władcom ciemności. To przecież siedziba bogów, chłopaki! Myślicie, że nie zauważą, jak po okolicy kręci się banda ludzi?

— Zamierzaliśmy polec wspaniałą śmiercią — wyjaśnił Cohen.

— Jasne, oczywiście. Ale potem. Niech mnie... słuchajcie, wyrzuciliby mnie z tajnego stowarzyszenia groźnych szaleńców, gdybym pozwolił wam na taki atak. — Złowrogi Harry pokręcił głową. — Istnieją setki bogów, zgadza się?

Wszyscy o tym wiedzą. I przez cały czas pojawiają się nowi. I co? Czy jakiś plan nie zaczął się już rysować? Ktoś ma pomysł?

Truckle podniósł rękę.

— Wbiegamy pędem?

— Tak, wszyscy jesteśmy przecież prawdziwymi bohaterami, co? Otóż nie. Nie to miałem na myśli. Chłopaki, macie szczęście, że się do was przyłączyłem...

* * *

Kierownik studiów nieokreślonych zauważył światelko na księżycu. Stał akurat oparty o reling, by spokojnie wypalić wieczornego papierosa.

Nie był magiem ambitnym. Zwykle koncentrował się przede wszystkim na unikaniu kłopotów oraz wszelkich męczących zajęć. Najlepszą cechą studiów nieokreślonych było to, że nikt nie potrafił dokładnie określić, czego dotyczą. A to dawało mu sporo wolnego czasu.

Przez chwilę obserwował bladą tarczę księżyca, po czym odszukał zajętego wędkowaniem nadrektora.

— Mustrum, czy księżyc powinien tak robić? — zapytał.

Ridcully uniósł głowę.

— Wielkie nieba! Stibbons! Gdzież ten chłopak się podział?

Myślaka zlokalizowano w koi, gdzie padł w ubraniu i zasnął. Na wpół rozbudzonego wciągnięto go na drabinkę, ale kiedy zobaczył niebo, natychmiast odzyskał przytomność umysłu.

— Czy on powinien tak robić? — zapytał Ridcully, wskazując księżyc.

— Nie, nadrektorze. Stanowczo nie powinien.

— Mamy więc określony problem? — wtrącił z nadzieją kierownik studiów nieokreślonych.

— Oczywiście! Gdzie omniskop? Czy ktoś próbował z nimi rozmawiać?

— No tak. W takim razie to nie moja dziedzina — stwierdził kierownik studiów nieokreślonych, wycofując się dyskretnie. — Przykro mi. Pomógłbym, gdybym mógł. Widzę, że jesteście zajęci. Przepraszam.

* * *

Wszystkie smoki już odpaliły. Rincewind czuł, jak coś przepycha mu gałki oczne w tył głowy.

Leonard w sąsiednim fotelu był nieprzytomny. Marchewa prawdopodobnie leżał wśród szczątków ciśniętych w drugi koniec kabiny.

Sądząc po złowieszczych trzaskach i zapachu, orangutan wisiał, trzymając się oparcia fotela Rincewinda.

A w dodatku, kiedy udało mu się odwrócić głowę i spojrzeć przez okno, zobaczył jedną ze smoczych kapsuł stojącą w ogniu. Nic dziwnego — płomień smoków był niemal czysto biały.

Leonard wspominał o którejś z tych dźwigni... Rincewind patrzył na nie przez czerwoną mgłę. „Gdybyśmy musieli odrzucić wszystkie smoki — mówił Leonard — trzeba...”. Co trzeba? Która dźwignia? Szczerze mówiąc, w takiej chwili wybór był oczywisty.

Rincewind, z zamglonym wzrokiem, ze słuchem atakowanym odgłosami cierpiącego statku, szarpnął jedyną, do której mógł dosięgnąć.

* * *

Nie mogę umieścić tego w sadze, myślał minstrel. Nikt nie uwierzy. Przecież normalnie nikt mi w życiu nie uwierzy...

— Zaufajcie mi, dobrze? — mówił Złowrogi Harry do ordynków. — Znaczy, naturalnie, nie jestem godny zaufania, przyznaję, tu jednak wchodzi w grę kwestia dumy zawodowej. Zaufajcie mi. To zadziała. Założę się, że nawet bogowie nie znają wszystkich bogów. Mam rację?

— Czuję się jak normalny czubek z tymi skrzydłami — poskarżył się Caleb.

— Pani McGarry bardzo się przy nich napracowała, więc nie narzekaj — burknął Złowrogi Harry. — Świetnie wyglądasz jak na boga miłości. Jakiej miłości, wolałbym nie mówić. A ty jesteś...

— Bogiem ryb, Harry — wyjaśnił Cohen, który przykleił sobie łuski na skórze i przygotował coś w rodzaju rybiego hełmu z jednego z byłych

przeciwników.

Złowrogi Harry starał się oddychać powoli.

— Dobrze, dobrze. Bardzo stary bóg ryb, tak. A ty, Truckle, jesteś...

— ...bogiem przeklinania jak demony — oznajmił stanowczo Truckle Nieuprzejmy.

— Ehm... to całkiem możliwe — wtrącił minstrel, gdy Złowrogi Harry zmarszczył czoło. — W końcu istnieją muzy tańca, śpiewu, a nawet muza poezji erotycznej...

— To akurat łatwe — rzucił Truckle lekceważąco. — W Quirmie żyła mieszczańska jedna, co chwyt...

— Dobrze, dobrze, wystarczy. A ty, Hamish?

— Bóg rzeczy.

— Jakich rzeczy?

Hamish wzruszył ramionami. Nie osiągnął tak zaawansowanego wieku dzięki niepotrzebnie rozwiniętej wyobraźni.

— No, różności — powiedział. — Może zgubionych rzeczy? Takich tam, co se leżą dookoła.

Srebrna Orda spojrzała na minstrela, który po krótkim zastanowieniu skinął głową.

— Może się udać — uznał.

Złowrogi Harry podszedł do Małego Williego.

— Willie, dlaczego masz pomidora na głowie i marchew w uchu?

Mały Willie uśmiechnął się z dumą.

— To ci się spodoba — zapewnił. — Bóg bycia komuś niedobrze.

— To już było — oświadczył minstrel, nim Harry zdążył odpowiedzieć. — Vometia. Bogini w Ankh -Morpork, tysiące lat temu. Złożyć ofiarę Vometii znaczyło...

— Więc lepiej wymyśl coś innego — rzucił Harry.

— Tak? — oburzył się Willie. — A ty niby kim będziesz?

— Ja... no... ja będę bóstwem ciemności — wyjaśnił Złowrogi. — Zawsze jest ich sporo...

— Zaraz! Nie mówiłeś, że możemy być demoniczni — zaprotestował Caleb.
— Jak mogę być demoniczny, to raczej mnie demony porwą, niż zostanę tym kretynem kupidynem.

— Bo jakbym powiedział, że możemy być demonami, wszyscy byście chcieli być demonami — zauważył Harry. — I tak od paru godzin się kłócimy.
Zresztą inni bogowie wyczują, że coś śmierdzi, jeśli nagle zjawi się cała banda bóstw ciemności.

— Pani McGarry nic nie przygotowała — poskarżył Truckle.

— Pomyślałam, że mogłabym pożyczyć hełm Złowrogiego Harry'ego i wśliznąć się jako dziewczica Walkiria — wyjaśniła Vena.

— Dobry, rozsądny pomysł — pochwalił Harry. — Kilka z nich musi się tam kręcić.

— A Harry'emu hełm i tak nie będzie potrzebny, bo za chwilę zacznie się skarżyć na nogę albo grzbiet, albo jeszcze coś i nie będzie mógł iść z nami — wtrącił konwersacyjnym tonem Cohen. — A to z powodu tego, że nas zdradził. Mam rację, Harry?

* * *

Gra stawała się coraz ciekawsza. Obserwowała ją już większość bogów. Bogowie lubią się pośmiać, choć trzeba przy tym zaznaczyć, że ich poczucie humoru nie należy do subtelnych.

— Mam nadzieję — odezwał się Ślepy Io, podstarzały przywódca bogów — że nie mogą nam zrobić nic złego.

— Nie — uspokoił go Los, przekazując kości. — Gdyby byli bardzo inteligentni, nie zostaliby bohaterami.

Zagrzechotały kości. Jedna z nich przeleciała nad planszą, zaczęła wirować w powietrzu coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zniknęła w obłoczku pyłu kości słoniowej.

— Ktoś wyrzucił nieoznaczoność — zauważył Los. Uniósł wzrok. — Ach... Ty, Pani.

— Witaj, panie — odparła Pani.

Jej imienia nigdy nie wymawiano, choć wszyscy je znali. Wymówić głośno jej imię oznaczało, że natychmiast odejdzie. Mimo że miała bardzo niewielu prawdziwych wyznawców, była jednym z najpotężniejszych bóstw na Dysku, ponieważ w głębi serca każdy miał nadzieję i wierzył, że istnieje.

— I jakież jest twój ruch, moja droga? — zapytał Ślepy Io.

— Już go wykonałam. Ale rzuciłam kości tam, gdzie ich nie widzicie.

— To dobrze. Lubię wyzwania. W takim razie...

— Proponuję dodatkową rozrywkę, panie — wtrącił gładko Los.

— To znaczy?

— Cóż, chcą być traktowani jak bogowie. Sugeruję, byśmy tak uczynili...

— Fcesz fofiedzieć, że fafy traktować ich fofażnie? — zdziwił się Offler.

— Do czasu. Do czasu.

— Do jakiego czasu? — spytała Pani.

— Do czasu, Pani, kiedy przestanie to być zabawne.

* * *

Wśród sawanny Howondalandu żyje plemię N'tuitif, jedyny na świecie lud całkowicie pozbawiony wyobraźni.

Na przykład ich legenda o gromie brzmi mniej więcej tak: „Grom to głośny dźwięk na niebie, powstający w wyniku zakłócenia stanu mas powietrza wskutek przeskoku błyskawicy”. A ich legenda „Jak żyrafa uzyskała długą szyję” mówi tyle: „Za dawnych dni przodkowie starego Żyrafy mieli szyje trochę dłuższe niż inne żyjące na sawannie zwierzęta; jednak dostęp do wysoko rosnących liści dawał im taką przewagę, że głównie długoszyje żyrafy przetrwały, przekazując te długie szyje poprzez krew, tak jak człowiek może przekazać włócznie swemu wnukowi; niektórzy twierdzą jednak, że wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane i to wyjaśnienie stosuje się tylko do krótszych szyj okapi; tak właśnie było”.

N'tuitif byli ludem spokojnym i zostali wybici niemal do nogi przez sąsiadów posiadających bujną wyobraźnię, a zatem również mnóstwo bogów, przesądów, wierzeń i pomysłów o ileż lepsze byłoby życie, gdyby mieli większe tereny łowieckie.

O wydarzeniach na księżycu owego dnia N'tuitif opowiadają: „Księżyc świecił jasno, a z niego wzniosło się inne światło, które rozdzieliło się na trzy światła i zgasło. Nie wiemy, dlaczego tak się stało. Stało się i tyle”.

Zostali potem wyróżnieni przez szereg sąsiadów przekonanych, że światło było sygnałem od boga Ukli, który w ten sposób nakazywał im poszerzyć tereny łowieckie jeszcze trochę. Jednakże ów szereg wkrótce został wybity przez inny, który wiedział, że światła to ich przodkowie mieszkający na księżycu, nakazujący zabić wszystkich niewierzących w boginię Glipzo. Trzy lata później ich z kolei zabił kamień spadający z nieba, rezultat wybuchu gwiazdy sprzed miliarda lat.

Tak to się wszystko toczy. Jeśli nie analizować zbyt dokładnie, można to uznać za sprawiedliwość.

* * *

W dygoczącym, trzeszczącym „Latawcu”, Rincewind patrzył, jak dwie

ostatnie smocze kapsuły odpadają spod skrzydeł. Przez chwilę leciały jeszcze obok, wirując, potem rozpadły się i zostały w tyle.

Znowu przyjrzał się dźwigniom. Ktoś naprawdę powinien coś z nimi robić, myślał niepewnie. Powinien, prawda?

* * *

Smoki mknęły po niebie. Uwolnione z kapsuł, spieszyły się do domu.

Magowie utworzyli Ciekawy Obiektów Thurlowa tuż nad pokładem. Pokaz był imponujący.

— Lepsze od sztucznych ogni — uznał dziekan.

Myślak walnął pięścią w omniskop.

— Aha, teraz działa — ucieszył się. — Ale widzę tylko ten wielgachny...

Kolejna część twarzy Rincewinda, poza jego wielkim nosem, pojawiła się na wizji.

— Którą dźwignię mam pociągnąć?! — wrzasnął.

— Co się stało?

— Leonard ciągle jest nieprzytomny, a bibliotekarz wyciąga Marchewę z tych wszystkich śmieci. To bardzo niespokojny lot! Nie zostały nam już żadne smoki! Po co są te pokrętła? Chyba spadamy! CO MAM ROBIĆ?!!!

— Nie przyglądałeś się, jak pilotuje Leonard?

— Miał stopy na pedałach i przez cały czas szarpał za wszystkie lewarki!

— Dobrze, dobrze. Sprawdzę, czy na podstawie jego planów uda mi się domyślić, co należy zrobić. Powiemy ci, jak zlecieć na dół.

— Nie mówcie, jak zlecieć na dół! Ja chcę zostać na górze! Góra jest ważna! Nie dół!

— Czy dźwignie są oznaczone? — zapytał Myślak, przerzucając szkice wynalazcy.

— Tak, ale nic z tego nie rozumiem! Na jednej jest napisane „Troba”!

Myślak przerzucał stronicę pokryte odwrotnym pismem Leonarda.

— E... tego... — mamrotał pod nosem.

— Nie ruszaj dźwigni oznaczonej „Troba”! — rozkazał Patrycjusz, schylając się nad omniskopem.

— Panie! — rzekł Myślak i poczerwieniał, gdy poczuł na sobie spojrzenie Vetinariego. — Przepraszam, ale to kwestie techniczne, chodzi o mechanizmy i może byłoby lepiej, gdyby osoby wykształcone raczej w dziedzinie humanistyki nie...

Umilkł pod wzrokiem Patrycjusza.

— Ta ma normalną etykietę! — zawołał gorączkowy głos z omniskopu. — Jest tu napisane „Rumpel księcia Harana”.

Vetinari poklepał Myślaka po ramieniu.

— Doskonale rozumiem — zapewnił. — Ostatnie, czego życzy sobie człowiek wyszkolony w działaniu mechanizmów, to dobre rady ignorantów. Proszę o wybaczenie. A co takiego zamierza pan zrobić?

— No, ja... tego...

— Kiedy „Latawiec”, wraz z wszelkimi naszymi nadziejami, pędzi ku ziemi, chciałem powiedzieć — dodał Vetinari.

— Bo ja... no... sprawdziliśmy te...

Patrycjusz znów pochylił się nad omniskopem.

— Rincewindzie, pociągnij dźwignię oznaczoną „Rumpel księcia Harana” — polecił.

— Nie wiemy, do czego służy... — zaczął Myślak.

— Jeśli ma pan lepszy pomysł, proszę go wyjawić. A tymczasem sugeruję, by pociągnąć dźwignię.

Na „Latawcu” Rincewind postanowił usłuchać głosu władzy.

— Zaraz... Słyszę różne stuki i brzęczenie — zameldował. — I... niektóre dźwignie poruszają się same... Teraz rozkładają się skrzydła... I tak jakby lecimy w linii prostej... właściwie całkiem spokojnie...

— To dobrze. Proponuję, żebyś poświęcił się budzeniu Leonarda — rzekł Patrycjusz. Zwrócił się do Myślaka: — Pan osobiście nie studiował klasyki, młody człowieku? Wiem, że Leonard to robił.

— No... nie.

— Książę Haran to legendarny klatchiański bohater, który opłynął świat dookoła — wyjaśnił Patrycjusz. — Jego statek był wyposażony w magiczny rumpel, sterował sam, kiedy książę zasypiał. Gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc, proszę się nie krępować.

* * *

Złowrogi Harry zamarł przerażony. Cohen zbliżał się po śniegu z uniesioną ręką.

— Uprzedziłeś bogów, Harry — powiedział.

— Wszyscy żeśmy słyszeli — dodał Hamish.

— Ale to nie szkodzi — uznał Cohen. — Będzie ciekawiej.

Dłoń opadła, klepiąc niskiego człowieczka w ramię.

— Pomyśleliśmy sobie, że Złowrogi Harry może i jest tępy jak cegła, ale zdradzić nas w takiej chwili... Trzeba mieć nerwy — rzekł Cohen. — Znałem swego czasu kilku złych władców ciemności, Harry, ale tobie uczciwie muszę przyznać trzy duże łby goblinów za styl. Może i nigdy ci się nie udało wejść do towarzystwa, no wiesz, wielkich władców ciemności, ale jesteś... tak, Harry, jesteś zbudowany z Niewłaściwego Materiału.

— Lubimy takich, co nie rzucają swoich katapult oblężniczych, choćby byli w mniejszości — zapewnił Mały Willie.

Złowrogi Harry spuścił głowę i przestąpił z nogi na nogę. Na jego twarzy ścierały się ulga i duma.

— Miło, że to doceniacie, chłopaki — powiedział. — Znaczy, no wiecie, gdyby to ode mnie zależało, przecież bym wam tego nie zrobił, ale muszę dbać o reputację i...

— Powiedziałem, że rozumiemy — uspokoił go Cohen. — Tak samo jest z nami. Widzisz, że pędzi na ciebie wielki kosmaty stwór, to nie zastanawiasz się, czy to nie rzadki gatunek na granicy wymarcia, tylko odrąbujesz mu głowę. Bo na tym polega bohaterowanie, mam rację? A ty widzisz kogoś i zdradzasz go, ledwie mrugnie okiem. Bo taka jest praca czarnego charakteru.

Reszta Ordy wydała pomruk aprobaty. W pewien niezwykle sposób to także było elementem Kodeksu.

— Pozwolicie mu odejść? — zdziwił się minstrel.

— Oczywiście. Nie uważałeś, mały. Władca ciemności zawsze ucieka. Ale zaznacz w pieśni, że nas zdradził. Zrobi dobre wrażenie.

— Słuchajcie... no... Czy można by dodać, że okrutnie próbowałem poderżnąć wam gardła?

— Jasne — zgodził się wielkodusznie Cohen. — Zapisz, mały, że Harry walczył niczym tygrys o czarnym sercu.

Harry otarł łzę z oka.

— Dzięki, chłopaki. Nie wiem, co powiedzieć. Nie zapomnę wam tego. Może dzięki temu nadejdą jeszcze dla mnie lepsze czasy.

— Ale zrób nam przysługę i dopilnuj, żeby bard wrócił bezpiecznie, dobrze?
— poprosił Cohen.

— Pewnie — obiecał Harry.

— Ehm... Ja nie wracam — oznajmił minstrel.

Zaskoczył tym wszystkich. I z pewnością zaskoczył sam siebie. Ale życie nagle otworzyło przed nim dwie drogi. Jedna prowadziła z powrotem do śpiewania pieśni o miłości i kwiatach; druga mogła go zaprowadzić dokądkolwiek. A w tych starcach było coś takiego, co pierwszy wybór czyniło zupełnie niemożliwym. Nie potrafiłby tego wytłumaczyć. Po prostu tak było.

— Musisz przecież wrócić i... — zaczął Cohen.

— Nie. Muszę zobaczyć, jak to się skończy. Pewnie zwariowałem, ale tego właśnie chcę.

— Ten kawałek możesz sobie wymyślić — wtrąciła Vena.

— Nie, proszę pani — odparł minstrel. — Chyba nie mogę. Nie sądzę, żeby ta wyprawa skończyła się w sposób, jaki potrafiłbym sobie wyobrazić. Nie

kiedy widzę pana Cohena w jego rybim hełmie i pana Williego jako boga bycia komuś niedobrze po raz drugi, pan Lęk może tu na mnie zaczekać. I nic mi przecież nie grozi. Niezależnie od wszystkiego, kiedy bogowie odkryją, że atakuje ich człowiek z pomidorem na głowie i drugi, przebrany za muzę przekleństw, to naprawdę, ale to naprawdę będzie im zależało, żeby cały świat wiedział, co się zdarzyło potem.

* * *

Leonard wciąż był nieprzytomny. Rincewind próbował ocierać mu czoło mokrą gąbką.

— Oczywiście, że mu się przyglądałem — zapewnił Marchewa, zerkając na poruszające się wolno dźwignie. — Ale to on zbudował „Latawca”, więc dla niego wszystko było proste. Ehm... tego bym nie dotykał...

Bibliotekarz wciągnął się na fotel pilota i obwąchiwał dźwignie. Gdzieś pod nimi stukał i brzęczał automatyczny rumpel.

— Będziemy musieli szybko coś wymyślić — stwierdził Rincewind. — Statek nie będzie sam sobą sterował w nieskończoność.

— Może gdybyśmy delikatnie... Lepiej tego nie robić...

Bibliotekarz pobieżnie obejrzał pedały. Potem jedną ręką odepchnął Marchewę, a drugą zdjął z haka okulary ochronne Leonarda. Objął stopami pedały. Pchnął dźwignię uruchamiającą rumpel księcia Harana i gdzieś w głębi, pod jego stopami, coś głośno brzęknęło.

Statek zadygotał, a bibliotekarz rozprostował palce, przebierał nimi przez chwilę, po czym chwycił dwie największe dźwignie.

Marchewa i Rincewind rzucili się do foteli.

* * *

Bramy Dunmanifestin rozwarły się, na pozór same z siebie. Srebrna Orda wkroczyła do wnętrza. Trzymali się blisko siebie i rozglądali podejrzliwie.

— Lepiej zrób sobie zakładki dla nas w swoim notesie, mały — szepnął Cohen. — Nie tego się spodziewałem.

— Nie rozumiem — odpowiedział minstrel.

— Powinny się tu odbywać hulanki w wielkiej hali — wyjaśnił Mały Willie.
— A są... sklepy. I każdy bóg ma inny rozmiar.

— Bogowie mogą być każdej wielkości — stwierdził Cohen, gdy zobaczył zbliżającą się grupę bóstw.

— Może lepiej... wpadnięm tu innym razem? — zaproponował Caleb.

Wrota zatrzasnęły się za nimi.

— Nie — rzekł Cohen.

Nagle otoczył ich tłum.

— Jesteście pewnie nowymi bogami — zagrzmiął głos z nieba. — Witajcie w Dunmanifestin. Chodźcie z nami.

— O, bóg ryb — odezwał się jakiś bóg, zrównując się z Cohenem. — I jak tam ryby, wasza potężność?

— Eee... Co? Aha... Są, no... mokre. Ciągłe bardzo mokre.

— A rzeczy? — Bogini zwróciła się do Hamisha. — Jak tam rzeczy?

— Ciągłe se leżą dookoła.

— Czy jesteś wszechmocny?

— Tak, skarbie, ale bierę na to pigułki.

— A ty jesteś muzą przekleństw? — zapytał inny bóg Truckle'a.

— Prawda jak demony — odparł desperacko Truckle.

Cohen uniósł wzrok i zobaczył Offlera, boga krokodyla. Nietrudno było go rozpoznać, zresztą Cohen widywał go już wiele razy. Jego posągi w świątyniach na całym świecie całkiem udatnie oddawały podobieństwo. Była to może właściwa chwila na refleksję, że tak wiele z owych świątyń znacznie zubożało wskutek działań Cohena. Cohen jednak nie tracił czasu na refleksje, gdyż nie zwykł się nimi zajmować.

Wydawało mu się za to, że Orda jest gdzieś zaganiana.

— Dokąd idziemy, przyjacielu? — zapytał.

— Fofaczeć na gfę, fasza fybość — wyjaśnił Offler.

— A tak, Tę, którą wy... my, bogowie, rozgrywamy na... śmiertelnikami.

— W samej rzeczy — przyznał inny bóg. — A obecnie odkryliśmy grupę śmiertelników rzeczywiście atakujących Dunmanifestin.

— A to demony, nie? — Cohen uprzejmie pokiwał głową. — Niech posmakują gorącego gromu, oto moja rada. To jedyna zrozumiała dla nich mowa.

— Głównie dlatego, że innej nie używacie — mruknął pod nosem minstrel, obserwując spod oka zebrane wokół planszy bóstwa.

— Owszem, też uznaliśmy, że to dobry pomysł — przyznał bóg. — A przy okazji, jestem Los.

— Och, jesteś Losem? — zdziwił się Cohen, kiedy dotarli już do planszy. — Zawsze chciałem cię poznać. Myślałem, że będziesz ślepy.

— Nie.

— A co byś powiedział, gdyby ktoś wetknął ci palce w oczy?

— Słucham?

— To taki mały żarcik.

— Cha, cha — powiedział Los. — Zastanawiam się, rybny boże, czy jesteś dobrym graczem.

— Nigdy nie byłem hazardzistą — wyjaśnił Cohen, kiedy pojedyncza kostka pojawiła się między palcami Losu. — Kufel to dobra gra.

— Może zainteresowałaby cię niewielka próba?

Tłum ucichł. Minstrel spojrzał w bezdenne oczy boga i zrozumiał, że kiedy gra się z Losem, kostka zawsze jest obciążona.

Dałoby się usłyszeć przelot jaskółki.

— Owszem — zgodził się Cohen. — Czemu nie?

Los rzucił kostkę na planszę.

— Sześć — powiedział, wciąż patrząc w oczy Cohenowi.

— Zgadza się. Znaczy, ja też muszę rzucić szóstkę?

— Ależ nie — uśmiechnął się Los. — Jesteś przecież bogiem. A bogowie grają, żeby wygrać. Ty, o potężny, musisz wyrzucić siódmkę.

— Siódmkę? — powtórzył minstrel.

— Nie rozumiem, czemu miałoby to sprawić kłopot komuś, kto ma prawo tu przebywać.

Cohen obracał kostkę w palcach. Miała regulaminowe sześć ścianek.

— Ja natomiast widzę, że to może być pewien kłopot — stwierdził. — Ale jedynie dla śmiertelników, ma się rozumieć. — Raz czy dwa podrzucił kostkę w powietrze. — Siedem?

— Siedem — potwierdził Los.

— Zawężlony problem.

Minstrel patrzył na niego, czując, jak dreszcz przebiega mu po plecach.

— Zapamiętasz, co powiedziałem, mały? — upewnił się Cohen.

* * *

„Latawiec” skręcił w wysokiej chmurze.

— Uuk! — zawołał zachwycony bibliotekarz.

— Pilotuje lepiej niż Leonard! — pochwalił Rincewind.

— Pewnie przychodzi mu to... łatwiej — szepnął Marchewa. — No wiesz... Jest w końcu naturalnie atawistyczny.

— Naprawdę? Zawsze uważałem go za kogoś naturalnie dobrodusznego. No, chyba że ktoś go nazwie małpiszonem, oczywiście.

„Latawiec” zakręcił znowu, sunąc po niebie niczym wahadło.

— Uuk!

— Jeśli wyrzycie przez okno po lewej stronie, możecie zobaczyć praktycznie wszystko — przetłumaczył Rincewind.

— Uuk!

— A jeśli wyrzycie przez okno na prawej burcie, zobaczycie... na bogów!

Po prawej stronie wznosiła się Góra. Na szczycie, migocząc w blasku słońca, wyrastał dom bogów. A nad nim, ledwie widoczny nawet w krystalicznie czystym powietrzu, wirował połyskliwy lej pola magicznego Dysku, uziemiającego się w samym środku świata.

— Czy... jesteś człowiekiem bardzo religijnym? — zapytał Rincewind. Chmury przemykały za oknem.

— Wierzę, że wszystkie religie odzwierciedlają pewien aspekt prawdy ostatecznej. Owszem — potwierdził Marchewa.

— Niezła gadka — pochwalił go mag. — Może uda ci się ją sprzedać.

— A ty? — zainteresował się Marchewa.

— No... Słyszałeś o takiej religii, która uznaje kręcenie się w kółko za formę modlitwy?

— Oczywiście. Pędzący Wirownicy z Klatchu.

— Moja jest podobna, tylko że poruszamy się raczej po liniach prostych. Tak. Szybkość jest sakramentem.

— Wierzysz, że daje ci jakiś rodzaj wiecznego życia?

— Nie wiecznego jako takiego. Raczej... No, po prostu życia. Daje życie. To znaczy — wyjaśnił Rincewind — więcej życia niż człowiek by miał, gdyby nie biegł bardzo szybko po linii prostej. Chociaż zakręty też są dopuszczalne w nierównym terenie.

Marchewa westchnął ciężko.

— Tak naprawdę to jesteś tchórzem, co?

— Owszem, ale nigdy nie mogłem zrozumieć, co w tym złego. Trzeba mieć charakter, żeby uciekać. Wielu byłoby równie tchórzliwych jak ja, gdyby tylko wystarczyło im odwagi.

Znowu wyjrzeni przez okno. Góra zbliżyła się wyraźnie.

— Zgodnie z opisem misji... — Marchewa przerzucił plik pośpiesznie zapisanych kartek z informacjami naukowymi, które Myślak wcisnął mu w rękę tuż przed startem — ...pewna liczba ludzi wkroczyła w przeszłości do Dunmanifestin i wróciła żywa.

— To, że wrócili żywi, per se nie jest specjalnie pocieszające — stwierdził mag. — Ale czy mieli ręce i nogi? Zdrowe umysły? Wszystkie pomniejsze dodatki?

— W większości były to postacie mityczne — odparł niepewnie Marchewa.

— Przedtem czy potem?

— Bogowie tradycyjnie łaskawym okiem patrzą na odwagę i zuchwałość.

— Dobrze. Możesz wejść pierwszy.

— Uuk — wtrącił bibliotekarz.

— Mówi, że niedługo będziemy lądować. Czy powinniśmy zająć jakąś szczególną pozycję?

— Uuk! — Zdawało się, że bibliotekarz walczy z dźwigniami.

— Co to znaczy? Czemu mamy się położyć na plecach z rękami skrzyżowanymi na piersi?

— Iik!

— Nie patrzyłeś, co robi Leonard, kiedy lądował na księżycu?

— Uuk!

— A to było całkiem dobre lądowanie — uznał Rincewind. — Co tam, głupio wyszło z tym końcem świata, ale takie rzeczy się przecież zdarzają, nie?

MASZ OCHOTĘ NA FISTASZKA? NIESTETY, TROCHĘ TRUDNO

OTWORZYĆ TOREBKĘ.

Widmowe krzesło zawisło w powietrzu obok Rincewinda. Fioletowe lśnienie na granicy pola widzenia zdradziło mu, że znalazł się nagle we własnej, osobistej czasoprzestrzeni.

— Czyli się rozbijemy? — zapytał.

MOŻLIWE. ZASADA NIEOZNACZONOŚCI BARDZO UTRUDNIA MI PRACĘ. MOŻE COŚ DO CZYTANIA?

„Latawiec” zatoczył łuk i poszybował w stronę chmur otaczających Cori Celesti. Bibliotekarz przyjrzał się niepewnie dźwigniom, ugryzł jedną czy dwie, pociągnął za uchwyt rumpla księcia Harana, po czym odbiegł na tył kabiny i schował się pod kocem.

— Wylądujemy na śnieżnym polu — stwierdził Marchewa, zajmując fotel pilota. — Leonard zaprojektował statek do lądowania na śniegu, prawda? W końcu...

„Latawiec” nie tyle wylądował, ile raczej musnął śnieg. Wyskoczył w powietrze, poszybował kawałek dalej i znów dotknął gruntu. Po jeszcze kilku podskokach kil sunął już równo i gładko.

— Znakomicie! — zawołał Marchewa. — Jak przechadzka w parku!

— Chcesz powiedzieć, że zaraz jacyś ludzie nas napadną, ukradną nam wszystkie pieniądze i będą kopać mocno po żebrach? — upewnił się Rincewind. — Całkiem możliwe. Suniemy prosto na miasto.

Spojrzeli przed siebie. Wrota Dunmanifestin zbliżały się szybko. „Latawiec” podskoczył na zaspie i szybował dalej.

— To nie jest odpowiednia pora na panikę — oświadczył stanowczo Rincewind.

„Latawiec” uderzył o śnieg, odbił się w powietrze i wleciał we wrota bogów.

Do połowy we wrota bogów.

* * *

— Czyli rzucam siódemkę i wygrywam — powtórzył Cohen. — Chodzi o to, że pokazuje się siedem, i jestem wygrany. Tak?

— Tak, oczywiście — zapewnił go Los.

— Jak dla mnie, brzmi to jak szansa jedna na milion.

Rzucił kostkę wysoko w powietrze. Wznosiła się coraz wolniej, wirując w tempie lodowca, z dźwiękiem niczym świst skrzydeł wiatraka.

Dotarła do szczytu łuku i zaczęła opadać.

Cohen wpatrywał się w nią całkowicie nieruchomo. Aż nagle jego miecz wyskoczył z pochwy i wykreślił złożoną krzywą. Coś trzasnęło, błysnęło w powietrzu zielenią i...

...dwie połówki sześcianu z kości słoniowej potoczyły się po stole.

Jedna wylądowała, pokazując sześć oczek. Druga jedno.

Jeden czy dwóch bogów, ku zdumieniu minstrela, zaczęło klaskać.

— Chyba zawarliśmy umowę? — spytał Cohen, nie chowając miecza.

— Doprawdy? A słyszałeś może takie powiedzenie: Nie można oszukać Losu? — spytał Los.

Wściekły Hamish uniósł się w fotelu.

— A ty żeś słyszał powiedzenie: Czy twoja matka umie cerować? — ryknął.

Jak jeden mąż, czy jeden bóg, Srebrna Orda uformowała szyk, dobywając broni.

— Żadnych walk! — krzyknął Ślepy Io. — To reguła! Mamy przecież świat, w którym możemy walczyć!

— To nie było oszustwo! — warknął Cohen. — Zostawianie różnych zwojów, żeby zwabić bohaterów w śmiertelną pułapkę, to jest dopiero oszustwo!

— Ale czym byliby bohaterowie bez tajemniczych map? — spytał Io.

— Wielu z nich byłoby jeszcze żywymi ludźmi. A nie pionkami w jakiejś paskudnej grze!

— Przeciąłeś kostkę na pół — przypomniał Los.

— Pokaż, gdzie w regułach jest napisane, że nie wolno! A może w ogóle pokażesz mi reguły, co? — Cohen aż podskakiwał z wściekłości. — Pokaż wszystkie zasady! No jak, panie Losie? Może jeszcze raz spróbujemy? Podwójna stawka? Wszystko albo nic?

— Fuszysz fszyznać, że to był ładny rzut — stwierdził Offler. Kilkoro pomniejszych bóstw kiwnęło głowami.

— Co? Pozwolicie im przeciwstawiać się nam? — protestował Los.

— Przeciwstawiać się tobie, panie — odezwał się nowy głos. — Uważam, że wygrali. On rzeczywiście oszukał Los. Jeśli ktoś oszuka Los, nie wierzę, by gdziekolwiek było powiedziane, że późniejsza opinia Losu ma znaczenie.

Pani z gracją przeszła przez tłum. Bogowie rozstępowali się, by zejść jej z drogi. Potrafili rozpoznać legendę w stadium narodzin, kiedy działały się na ich oczach.

— A kim ty jesteś?! — wrzasnął Cohen, wciąż czerwony ze złości.

— Ja?

Pani rozłożyła ręce. W obu rękach trzymała po kostce do gry, ukazujące

pojedynczą kropkę. Poruszyła dłońmi; obie kostki zderzyły się w powietrzu, wydłużyły, splotły, zmieniły się w wijącego węża i... zniknęły.

— Jestem szansą jedną na milion — powiedziała.

— Tak? — Na Cohenie wywarło to mniejsze wrażenie, niż zdaniem minstrela powinno. — A kim są wszystkie pozostałe szanse?

— Jestem nimi także.

Cohen parsknął.

— W takim razie nie jesteś damą — uznał.

— Eee... Tak naprawdę... — zaczął minstrel.

— Aha, nie to miałem powiedzieć, co? — rzekł Cohen. — Powinienem zawołać: Och, jasna pani, padam do nóg, co? No to nic z tego. Mówi się, że mężnym szczęście sprzyja, ale za wielu widziałem mężnych, którzy ruszali do bitwy i już z niej nie wracali. Do demonów z tym... A temu co się stało?

Minstrel wpatrywał się w boga na obrzeżu tłumu.

— To ty, prawda? — warknął groźnie. — Ty jesteś Nuggan, prawda?

Niewysoki bóg cofnął się o krok. Popełnił jednak błąd i spróbował reagować z wyższością.

— Zamilcz, śmiertelniku!

— Ty kompletny... kompletny... Piętnaście lat! Piętnaście lat, zanim skosztowałem czosnku! A kapłani zaganiali nas o świcie za miasto i kazali skakać po pieczarkach! Czy ty w ogóle wiesz, ile w naszym miasteczku kosztowała mała tabliczka czekolady? I co robili z ludźmi, u których ją znaleźli?

Minstrel przecisnął się przez szereg ordyńców i ruszył na wystraszzonego boga, wznosząc lutnię niczym maczugę.

— Porażę cię błyskawicą! — pisnął Nuggan, zasłaniając się rękami.

— Nie możesz! Nie tutaj! Takie rzeczy wolno wam robić tylko na świecie! Tutaj stać was tylko na blef i iluzje! I straszenie! Po to właśnie są modlitwy: zastraszeni ludzie usiłują zaprzyjaźnić się z dręczycielem! Tyle zbudowanych świątyń... A ty jesteś nikim, tylko małym...

Cohen delikatnie chwycił go za ramię.

— Frokuły — mruknął Offler do Sweevo, boga ciętego drewna. — Nie fożna się fofylić frzy frokułach.

— Ja zakazuję praktykowania panupinitoplastii — odparł Sweevo.

— Fo to jeft?

— Nie mam pojęcia, ale oni trochę się boją.

— Pozwólcie tylko jeden raz mu przyłożyć! — krzyczał minstrel.

— Posłuchaj mnie, synu. Posłuchaj. — Cohen z trudem go powstrzymywał.

— Masz ważniejsze rzeczy do zrobienia z tą lirą niż rozbijanie jej na czyjejs głowie, prawda? Kilka niedługich wersów... Zadziwiające, jak potrafią utkwić w pamięci. Słuchaj, no słuchaj, rozumiesz, co do ciebie mówię? Mam miecz, i to bardzo porządny miecz, ale jedyne, czego potrafię nim dokonać, to zachować kogoś przy życiu. Słuchajże... Pieśń potrafi zachować człowieka w pamięci na wieczność. Uczynić go nieśmiertelnym. Dobrego albo złego.

Minstrel uspokoił się trochę, ale tylko trochę. Nuggan ukrył się za grupą innych bogów.

— Zaczeka, aż przekroczę wrota... — burknął minstrel.

— Będzie miał inne zajęcia. Truckle, wciśnij ten zapalnik.

— Ach, wasze słynne fajerwerki... — zaśmiał się Ślepy Io. — Przecież, mój drogi śmiertelniku, ogień nie może zaszkodzić bogom...

— Chwileczkę — odparł Cohen. — To zależy, prawda? Bo za parę minut szczyt tej góry będzie wyglądał jak wulkan. Wszyscy na świecie to zobaczą. Zastanawiam się, czy potem będą jeszcze wierzyć w bogów.

— Ha! — prychnął wzgardliwie Los, ale kilka co inteligentniejszych bóstw zaczęło się zastanawiać.

— Zresztą — ciągnął Cohen — nie ma znaczenia, czy ktoś zabije bogów. Ważne, że ktoś się starał. Następnym razem ktoś się postara bardziej.

— Za parę minut zdarzy się tylko tyle, że zginiecie — oświadczył Los.

Jednak co bystrzejsze bóstwa wycofywały się dyskretnie.

— A co mamy do stracenia? — zapytał Mały Willie. — I tak przecież umrzemy. Jesteśmy gotowi na śmierć.

— Zawsze bylim gotowi na śmierć — wtrącił Caleb Rozpruwacz. — Właśnie dlatego żyliśmy tak długo.

— Ale... czemu się irytujecie? — zdziwił się Ślepy Io. — Macie za sobą długie, pełne przygód życie, a wielki cykl natury...

— Wielki cykl natury może se zjeść moją opaskę! — przerwał mu Wściekły Hamish.

— A nie ma wielu takich, co by chcieli tego spróbować — zaznaczył Cohen.
— Nie jestem dobry w gadaniu, ale... Myślę, że robimy to, bo mamy umrzeć, rozumiecie? I dlatego że jakiś gość dotarł kiedyś na sam kraj świata, zobaczył wszystkie te inne światy i zalał się łzami, bo miał tylko jedno życie. Tyle wszechświata, a tak mało czasu. To nie jest uczciwe...

Ale bogowie, zamiast słuchać, oglądali się nerwowo.

* * *

Skrzydła połamały się i odpadły. Kadłub runął na bruk i sunął dalej.

— Teraz jest odpowiednia pora na panikę — stwierdził Rincewind.

Rozbity „Latawiec” ślizgał się po kamieniach, w coraz silniejszym zapachu palonego drewna.

Błada dłoń sięgnęła spoza pleców Rincewinda.

— Sugeruję — powiedział Leonard — żeby się czegoś złapać.

Pociągnął niewielki lewarek podpisany „Celumah”.

„Latawiec” wreszcie się zatrzymał. I to w bardzo dynamicznym stylu.

Bogowie patrzyli.

W boku dziwnego drewnianego ptaka otworzył się właz. Kłapa spadła i odtoczyła się kawałek.

Bogowie zobaczyli, że z wnętrza wychodzi jakaś postać. Człowiek ów przypominałby bohatera, tyle że był o wiele za czysty.

Rozejrzał się, zdjął hełm i zasalutował.

— Dzień dobry, o wszechmocni — powiedział. — Przepraszam za najście, ale to nie potrwa długo. Niech wolno mi będzie skorzystać z okazji i w imieniu wszystkich ludzi na Dysku zapewnić, że wykonujecie tu wspaniałą robotę.

Ruszył w stronę Ordy. Wyminął zdumionych bogów i zatrzymał się przed Cohenem. — Cohen Barbarzyńca?

— A co ci do tego?

— Jestem kapitan Marchewa ze straży miejskiej Ankh-Morpork. Niniejszym aresztuję pana pod zarzutem spisku w celu zniszczenia świata. Nie musi pan niczego mówić...

— Nie mam zamiaru niczego mówić — przerwał mu Cohen, wznosząc miecz. — Mam zamiar zwyczajnie odrąbać ci tę pieprzoną głowę...

— Czekaj, czekaj! — zawołał nerwowo Mały Willie. — Czy wiesz, kim jesteśmy?

— Sądzę, że tak. Pan jest Małym Williem, znanym też jako Szalony Bill,

Wilhelm Rębacz, Wielki...

— I zamierzasz nas aresztować? Mówiłeś, że jesteś jakimś tam strażnikiem?

— Tak jest w istocie, proszę pana.

— Swego czasu zabiliśmy chyba setki strażników.

— Przykro mi to słyszeć.

— A ile ci płacą? — zainteresował się Caleb.

— Czterdzieści trzy dolary miesięcznie, panie Rozpruwacz. Plus wydatki.

Orda wybuchnęła śmiechem. Po chwili Marchewa dobył miecza.

— Będę nalegał, proszę pana. To, co planujecie, doprowadzi do końca świata.

— Tylko tego kawałka, chłopcze — odparł Cohen. — A teraz wracaj do domu i...

— Jestem cierpliwy, proszę pana, z szacunku dla pańskich siwych włosów...

Odpowiedział mu kolejny wybuch śmiechu. Ktoś musiał walnąć Hamisha w plecy.

— Chwileczkę, chłopcy — odezwała się pani McGarry. — Czy myśmy dobrze to sobie przemyśleli? Popatrzcie uważnie.

Popatrzyli uważnie.

— I co? — zapytał Cohen.

— Jesteśmy ja i ty, Cohen — mówiła Vena — i Truckle, i Mały Willie, i Hamish, i Caleb, i minstrel.

— No? Co z tego?

— To siedmioro. Nas siedmioro na niego jednego. Siedmiu na jednego. W dodatku on wierzy, że ratuje świat. I wie, kim jesteśmy, ale nadal chce z nami walczyć...

— Myślisz, że jest bohaterem? — zarechotał Wściekły Hamish. — Ha! Jaki bohater pracuje za czterdzieści trzy dolce miesięcznie? Plus wydatki?

Ale jego śmiech brzmiał samotnie w nagłej ciszy. Orda potrafiła przeliczać specyficzną matematykę bohaterstwa.

Liczył się Kodeks. Żyli według Kodeksu. Kodeks był ważny. Bez Kodeksu człowiek nie był bohaterem. Był zbójem w przepasce biodrowej.

A Kodeks stwierdzał wyraźnie: jeden śmiałek przeciwko siedmiu... zwycięża. Wiedzieli, że to prawda. Im większa przewaga wroga, tym większe zwycięstwo. Tak mówi Kodeks.

Zapomnij o Kodeksie, zlekceważ Kodeks, złam Kodeks... a Kodeks cię dopadnie.

Przyjrzeni się mieczowi kapitana Marchewy. Był krótki, ostry i zwyczajny. Nie miał żadnych run na klindze. Żaden mistyczny blask nie migotał wokół ostrza.

Jeśli człowiek wierzył w Kodeks, fakt ten budził niepokój. Zwykły solidny miecz w rękach śmiałka rozetnie miecz magiczny jak bryłę łożu.

Nie była to przerażająca myśl, ale myśl.

— Zabawna historia — odezwał się Cohen. — Słyszałem kiedyś, że w Ankh-Morpork pracuje strażnik, który naprawdę jest dziedzicem tronu, ale nikomu o tym nie mówi, bo lubi być strażnikiem...

O bogowie, pomyślała Orda. Król w przebraniu... To kodeksowy przypadek, nie ma co.

Marchewa spojrzał Cohenowi prosto w oczy.

— Nigdy o nim nie słyszałem — powiedział.

— Żeby ginąć za czterdzieści trzy dolary miesięcznie - mówił Cohen, nie odwracając wzroku — człowiek musi być bardzo, ale to bardzo głupi albo bardzo, ale to bardzo odważny...

— A jaka to różnica? — wtrącił Rincewind podchodząc bliżej. — Słuchajcie, nie chciałbym zakłócać tego dramatycznego momentu i w ogóle, ale on nie żartuje. Jeśli ten... ta beczka tutaj wybuchnie, zniszczy cały Dysk. Ona... otworzy tak jakby dziurę i przez nią spłynie cała magia...

— Rincewind? — zdziwił się Cohen. — Co ty tu robisz, stary szczurze?

— Próbuję ocalić świat. — Mag przewrócił oczami. — Znowu.

Cohen zawahał się nieco, ale bohaterowie nie ustępują tak łatwo, nawet przed Kodeksem.

— Naprawdę wszystko się rozleci?

— Tak!

— Nie taki znowu piękny ten świat — mruknął Cohen. — Już nie.

— A co ze wszystkimi małymi, puszystymi kotkami... — zaczął Rincewind.

— Szczeniaczkami — szepnął Marchewa.

— No... co z nimi?

— Nic takiego.

— Ale wszyscy umrą — zaznaczył Marchewa.

Cohen wzruszył kościstymi ramionami.

— Każdy umiera, prędzej czy później. Tak nam mówili.

— Nie pozostanie nikt, kto by pamiętał — powiedział minstrel, jakby mówił do siebie. — Jeśli nikt nie zostanie żywy, nikt nie będzie pamiętał. Nikt nie będzie wspominał, kim byliście ani czegoście dokonali — mówił dalej do ordy. — Nie będzie już niczego. Żadnych pieśni. Żadnych wspomnień.

Cohen westchnął.

— No dobrze. Przypuśćmy, że nie...

— Cohenie... — odezwał się dziwnie zatroskany Trackie. — Wiesz, parę minut temu, kiedy kazałeś wcisnąć ten zapalnik...

— Tak?

— Chodziło ci o to, że nie powinienem?

Beczułka skwierczała.

— Wcisnąłeś?

— No tak. Sam mówiłeś...

— Możemy to zatrzymać?

— Nie — stwierdził Rincewind.

— Możemy przed tym uciec?

— Tylko jeśli znajdziesz sposób, żeby bardzo, bardzo szybko przebiec dziesięć mil.

— Podejdźcie no tu, chłopaki. Nie ty, mały, to mieczowa robota...

Bohaterowie się naradzali, zbici w ciasną gromadkę. Nie trwało to długo.

— W porządku. — Cohen wyprostował się. — Zapisaleś nasze imiona jak trzeba, panie bardziej?

— Oczywiście...

— No to idziemy, chłopcy!

Wrzucili beczkę z powrotem na wózek inwalidzki Hamisha. Truckle obejrzał się jeszcze, kiedy go popchnęli.

— Słuchaj no, bardziej! Na pewno zanotowałeś ten kawałek, kiedy ja...?

— Wychodzimy! — krzyknął Cohen, chwytając go za ramię. — Do zobaczenia, pani McGarry!

Skinęła głową i odsunęła się z drogi.

— Wiecie, jak to jest — powiedziała smutnie. — Prawniki w drodze i w ogóle...

Wózek toczył się już szybko.

— Niech dadzą któremuś imię po mnie! — krzyknął Cohen i wskoczył na pokład.

— Co oni robią? — zdziwił się Rincewind, gdy wózek pędził ulicą w stronę bramy.

— Nigdy nie zdążą zjechać z góry! — stwierdził Marchewa i ruszył biegiem.

Wózek przemknął pod łukiem na końcu ulicy i zadudnił na oblodzonych kamieniach.

Biegli za nim. Rincewind zdążył jeszcze zobaczyć, jak podskakuje na kamieniu i wylatuje w dziesięć mil pustego miejsca. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze ostatnie słowa, gdy zaczął się upadek:

— Czy nie powinniśmy czegoś zawołaaaaa...

Potem wózek, postacie ludzi i beczka stawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż wtopiły się w zamglony pejzaż śniegu i ostrych, drapieżnych skał.

Po chwili Rincewind kątem oka zauważył Leonarda. Wynalazca trzymał się za nadgarstek, jakby badał sobie puls, i liczył pod nosem.

— Dziesięć mil... hmm... uwzględniając opór powietrza... Powiedzmy trzy minuty plus... Tak, tak... Rzeczywiście... Powinniśmy odwrócić wzrok mniej więcej... tak... teraz. Tak, to rozsądny po...

Nawet za zamkniętymi powiekami świat poczerwieniał.

Kiedy Rincewind podczołgał się do krawędzi, zobaczył niewielki, daleki krążek złowrogiej czerni i czerwieni.

Kilka sekund później grom wstrząsnął zboczami Cori Celesti, strącając lawiny. I on także zamarł.

— Myślisz, że przeżyli? — zapytał Marchewa, spoglądając w dół poprzez chmurę uniesionego śniegu.

— Co? — nie zrozumiał Rincewind.

— Jeśli nie ocaleli, to nie będzie porządna opowieść.

— Opamiętaj się! Kapitanie! Spadli z wysokości dziesięciu mil w centrum eksplozji, która właśnie zmieniła górę w kotlinę.

— Mogli wylądować w bardzo głębokim śniegu na jakiejś półce.

— A może akurat przelatywało stado bardzo wielkich i miękkich ptaków?

Marchewa przygryzł wargę.

— Z drugiej strony... Oddać życie, żeby ocalić wszystkich ludzi na świecie...
To też jest dobre zakończenie.

— Przecież to oni chcieli ten świat zniszczyć!

— Mimo to bardzo odważnie się zachowali.

— Może i tak. W pewnym sensie.

Marchewa smętnie potrząsnął głową.

— Powinniśmy chyba zejść na dół i sprawdzić.

— To przecież wielki, wrzący krater roztopionej skały! — nie wytrzymał Rincewind. — Potrzebny byłby cud.

— Zawsze jest nadzieja.

— I co? Zawsze też są podatki. To żadna różnica.

Marchewa westchnął i wyprostował się.

— Chciałbym, żebyś nie miał racji.

— Chciałbyś? Daj spokój, lepiej wracajmy. Nasze kłopoty jeszcze się chyba nie skończyły.

Za nimi Vena głośno wytarła nos, po czym wcisnęła chusteczkę pod pancerny napierśnik. Czas już, pomyślała, podążyć za zapachem koni.

Szczątki „Latawca” stały się obiektem intensywnego, choć ostrożnego zainteresowania klas boskich. Bóstwa nie były pewne, co to takiego, wiedziały jednak, że tego nie aprobują.

— Mam wrażenie — oświadczył Ślepy Io — że gdybyśmy chcieli, by ludzie latali, dalibyśmy im skrzydła.

— Fozwalafy na fiotły i lafające fyfany — przypomniał Offler.

— Ale one są magiczne. Magia... religia... Istnieje między nimi pewien związek. A tu mamy próbę podkopania naturalnego porządku. Właściwie

każdy może sobie fruwać dookoła na jednej z tych rzeczy. Ludzie mogliby spoglądać z góry na swoich bogów!

Io zadrżał. Spojrzał z góry na Leonarda z Quirmu.

— Dlaczego to zbudowałeś? — zapytał.

— Daliście mi skrzydła, kiedy pokazaliście mi ptaki — odparł Leonard. — Zrobiłem tylko to, co zobaczyłem.

Pozostali bogowie milczeli. Jak wielu ludzi zawodowo religijnych — a jako bogowie byli naprawdę profesjonalistami — czuli się niepewnie w obecności zjawisk prawdziwie duchowych.

— Nikt z nas nie rozpoznaje w tobie wyznawcy — stwierdził Io. — Czy jesteś ateistą?

— Mogę chyba powiedzieć, że stanowczo wierzę w bogów — zapewnił Leonard, rozglądając się wokół siebie. Ta wypowiedź zadowoliła chyba wszystkich. Oprócz Losu.

— I to już wszystko? — zapytał.

Leonard zastanowił się.

— Sądzę, że wierzę też w ukryte geometrie, w kolory na krawędzi światła i w cudowność wszystkiego.

— Czyli nie jesteś człowiekiem religijnym? — upewnił się Ślepy Io.

— Jestem malarzem.

— To znaczy „nie”, prawda? Chcę mieć pewność.

— Eee... nie rozumiem pytania w takiej formie, w jakiej je zadałeś.

— A my chyba nie rozumiemy odpowiedzi — mruknął Los. — W takiej formie, w jakiej ich udzielasz.

— Ale jesteśmy ci chyba coś winni... — przyznał Io. — Niech nikt nie mówi, że bogowie są niesprawiedliwi.

— Nie pozwolimy, by ktoś mówił, że bogowie są niesprawiedliwi — zapewnił Los. — Proponuję...

— Będiesz ty wreszcie cicho! — zirytował się Io. — Załatwimy to po staremu. Dziękuję za sugestie. — Zwrócił się do podróżników i wskazał palcem Leonarda. — Twoja kara będzie taka: pomalujesz sklepienie świątyni Pomniejszych Bóstw w Ankh -Morpork. Całe. Wnętrze jest w fatalnym stanie.

— To nieuczciwe — zaprotestował Marchewa. — Nie jest już młody, a wielkiemu Angelino Tweebsly dwadzieścia lat zajęło malowanie tego sklepienia.

— A zatem będzie miał czym się zająć. I dobrze, niech myśli o czymś pożytecznym — stwierdził Los. — Nie będzie miał czasu na głupstwa. To właściwa kara dla tych, którzy uzurpują sobie moc boską! Dla bezczynnych rąk też znajdziemy zajęcie.

— Hm... — mruczał Leonard. — Trzeba będzie sporo rusztowań...

— Ogrofne ilości — zgodził się z satysfakcją Offler.

— A co do natury obrazu... Chciałbym namalować...

— Cały świat — zdecydował Los. — Nic mniej.

— Naprawdę? — zdziwił się Ślepy Io. — Myślałem, że może jakiś niebieskie tło w ładnym odcieniu i kilka gwiazd...

— Cały świat... — powtórzył Leonard, wpatrzony w jakąś osobistą wizję. — Ze słoniami, smokami, wirem chmur, rozległymi puszciami, i prądy na morzu, ptaki, i szerokie żółte sawanny, fronty burzowe i szczyty gór?

— No... tak — potwierdził Ślepy Io. — I bez pomocy — wtrącił Los.

— Nafet frzy rusztofaniu.

— To potworne — uznał Marchewa.

— A jeśli malowidło nie zostanie ukończone w ciągu dwudziestu lat... — mówił Io.

— Dziesięciu lat — poprawił go Los.

— ...dziesięciu lat, niebiański ogień zrówna z ziemią miasto Ankh-Morpork!

— Hmm... tak, dobry pomysł. — Leonard wciąż wpatrywał się w pustkę. — Niektóre ptaki muszą być całkiem małe...

— Jest w szoku — uznał Rincewind.

Kapitan Marchewa zamilkł z wściekłości, tak jak niebo cichnie tuż przed burzą.

— Powiedz — zwrócił się do niego Ślepy Io — czy istnieje bóg policjantów?

— Nie, proszę pana — odparł Marchewa. — Wobec każdego, kto nazwałby się bogiem policjantów, gliniarze byliby zbyt podejrzliwi, żeby w niego wierzyć.

— Ale jesteś człowiekiem bogobojnym?

— To, czego się o bogach dowiedziałem, bez wątpienia budzi śmiertelne przerażenie. A mój komendant zawsze powtarza, kiedy patrolujemy miasto, że jeśli człowiek popatrzy na stan ludzkości, zmuszony jest uznać realność bogów.

Bogowie uśmiechnęli się z aprobatą dla tego dosłownego cytatu. Bogowie rzadko stykają się z ironią.

— Doskonale — uznał Ślepy Io. — Czy masz jakieś żądanie?

— Słucham?

— Czy chciałbyś czegoś od bogów?

— Słucham?

— Każdy pragnie czegoś od bogów.

— Nie, proszę pana. Chcę ofiarować wam wyjątkową sposobność.

— Ty nam coś dasz?

— Tak, proszę pana. Niezwykłą sposobność okazania sprawiedliwości i miłosierdzia. To, o co proszę, przyjmę jako łaskę.

Zapadła cisza. Wreszcie odezwał się Ślepy Io.

— Chodzi ci o taki drewniany obiekt z uchwytem, czasem rzeźbiony dla ozdoby? — Przerwał. — Czy może o taką bryczkę?

— Nie, to by była kolaska. Chodzi o łaskę, proszę pana. Spełnienie prośby.

— Ach, łaska... Mówisz jakoś przez zęby. No dobrze, o co chodzi?

— Proszę pozwolić, by „Latawiec” został naprawiony, abyśmy mogli wrócić do domu...

— Niemożliwe! — zawołał Los.

— Jak dla mnie, brzmi to rozsądnie. — Ślepy Io rzucił mu gniewne spojrzenie swych licznych oczu. — Ale musi to być jego ostatni lot.

— To będzie ostatni lot „Latawca”, prawda? — spytał Marchewa Leonarda.

— Hm... tak, oczywiście. Widzę, że wiele elementów zaprojektowałem błędnie. Następny umff...

— Co się dzieje? — zapytał podejrzliwie Los.

— Gdzie? — zdziwił się Rincewind.

— Dlaczego zatkałeś mu dłonią usta?

— Ja?

— Ciągłe to robisz!

— To nerwy — wyjaśnił mag, puszczając Leonarda. — Jestem trochę roztrzęsiony. — I ty też chcesz jakiejś łaski?

— Co? Właściwie, kiedy miałem sześć lat, rzeczywiście była taka dziewczyna, duża i niedobra... ze szpilką. Nie chcę o tym mówić. Ale skoro już... właściwie wołałbym balon. Wielki i niebieski. — Spojrzał na wpatrzonych w niego bogów. — I naprawdę nie rozumiem, czemu wszyscy tak mi się przyglądają.

— Uuk — powiedział bibliotekarz.

— Czy wasz zwierzak też chciałby balon? — upewnił się Ślepy Io. — Mamy tu boga małpisonów, więc gdyby miał ochotę na jakieś mango albo co...

Temperatura opadła nagle, choć wyraźnie.

— Właściwie — rzekł pospiesznie Rincewind — mówi, że chciałby trzy tysiące kart katalogowych, nową pieczęć i pięć garnców tuszu.

— Iik! — dodał z naciskiem bibliotekarz.

— No dobrze. I jeszcze czerwony balon, jeśli to nie problem.

* * *

Naprawa „Latawca” okazała się dość prosta. Co prawda bogowie z zasady nie czują się pewnie w kwestiach mechaniki, jednak każdy panteon w dowolnym miejscu uniwersum uznaje za konieczne, by mieć w swych szeregach jakieś pomniejsze bóstwo — Wulkana, Wielanda, Dennisa czy Hefajstosa — które wie, jak co do czego dopasować. Większość dużych organizacji, ku swej rozpaczy i mimo kosztów, musi posiadać kogoś takiego.

* * *

Złowrogi Harry wynurzył głowę z zaspy, gwałtownie chwytając oddech. I natychmiast silna dłoń wepchnęła go z powrotem.

— Czyli umowa stoi? — upewnił się minstreł, który klęczał mu na plecach,

trzymając za włosy.

Złowrogi Harry wynurzył się znowu.

— Stoi! — zawołał, wypluwając śnieg.

— A jeśli potem mi powiesz, że nie powinienem ci wierzyć, bo przecież wszyscy wiedzą, że nie można ufać władcom ciemności, uduszę cię struną lutni.

— Nie masz krzty szacunku!

— Co z tego? Jesteś przecież złym, zdrazieckim władcą ciemności, prawda?

— Minstrel wepchnął mu głowę z powrotem w śnieg.

— Niby tak... Oczywiście... Jasne. Ale szacunek nic nie kosztuje mmm m m mm.

— Pomożesz mi dotrzeć na dół, a ja umieszczę cię w sadze jako najbardziej złowrogo, zdeprawowanego i niesprawiedliwego złego władcę, jaki kiedykolwiek istniał. Zrozumiano?

Głowa pojawiła się znowu, rżąc.

— Dobrze już, dobrze. Tylko musisz obiecać...

— Ale gdybyś mnie zdradził, to pamiętaj, że ja nie znam Kodeksu. Nie muszę pozwalać, by władca ciemności się wymknął.

Schodzili w milczeniu oraz — w przypadku Harry'ego — głównie z zamkniętymi oczami.

Trochę z boku i daleko w dole wzgórze, które teraz było doliną, wciąż dymiło i bulgotało.

— Nigdy nie znajdziemy ciała — stwierdził minstrel, kiedy szukali ścieżki.

— Nie. A nie znajdziemy dlatego, że oni wcale nie zginęli, rozumiesz? Na pewno wymyślili w ostatniej chwili jakiś plan. Mogę się założyć.

— Harry...

— Mów mi: Złowrogi, mój mały.

— Wiesz, Złowrogi, oni ostatnie chwile spędzili, spadając z góry w

dziesięciomilową przepaść.

— No tak. Ale może tak jakby szybowali w powietrzu? A w dole są różne jeziora... A może zauważyli, gdzie śnieg jest naprawdę bardzo głęboki?

Minstrel patrzył na bulgoczącą lawę.

— Naprawdę wierzysz, że przeżyli?

Na brudnej twarzy Harry'ego pojawił się cień desperacji.

— Jasne. Oczywiście. Całe to gadanie Cohena... to tylko takie tam gadanie. On nie jest z takich, co by ginęli przy byle okazji. Nie stary Cohen! Znaczący... nie on. Jest jedyny w swoim rodzaju.

Minstrel spoglądał na Krainy Osiowe przed sobą. Były tam jeziora i były miejsca, gdzie leżał bardzo głęboki śnieg. Jednak Orda nie pochwałała chytrości. Jeśli potrzebowali chytrości, wynajmowali ją. Jeśli nie, po prostu atakowali. A nie można przecież zaatakować gruntu.

Wszystko się pomieszało, myślał. Całkiem jak mówił ten kapitan: bogowie, bohaterowie, szalone przygody... Ale kiedy odchodzi ostatni bohater, wszystko się kończy.

Nigdy nie przepadał za bohaterami, lecz uświadomił sobie, że ich potrzebuje. Powinni istnieć, jak lasy i góry. Można ich nigdy nie oglądać, ale wypełniali jakąś pustkę w umyśle. Pustkę w umyśle każdego człowieka.

— Na pewno nic im się nie stało — przekonywał idący z tyłu Złowrogi Harry. — Prawdopodobnie będą na nas czekać, kiedy już dojdziemy na dół.

— Co to takiego zwisa z tego głazu? — zdziwił się minstrel.

Kiedy wspięli się po śliskich kamieniach, odkryli, że to kawałek połamanego koła z wózka inwalidzkiego Wściekłego Hamisha.

— To nic nie znaczy — stwierdził Złowrogi Harry i z lekceważeniem odrzucił znalezisko. — Chodź, musimy się pospieszyć. Nie chciałbyś spędzić nocy na tej górze.

— Nie. Masz rację. — Minstrel zdjął z pleców lutnię i zaczął ją stroić. — To nic nie znaczy.

Zanim odszedł, sięgnął jeszcze do podartych spodni i z kieszeni wyjął skórzany woreczek. Był pełen rubinów.

Wysypał je na śnieg, gdzie zaśniły czerwienią. I poszedł dalej.

* * *

Głęboki śnieg pokrywał ziemię. Tu i tam jakieś zagłębienie wskazywało, że został wypchnięty z wielką siłą przez spadające ciało, ale krawędzie tych śladów zmiękczył już i zaokrąglił wiatr.

Siedem jeźdźczyń wylądowało delikatnie, a śnieg zachowywał się tak, że wprawdzie pojawiały się na nim odciski podków, ale nie dokładnie tam, gdzie wierzchowce stawiały kopyta, ani nie dokładnie w tym momencie. Wydawało się, że są jakoś nałożone na świat, jak gdyby zostały namalowane wcześniej, a artyście brakło później czasu, żeby porządnie domalować po nich rzeczywistość.

Kobiety odczekały chwilę.

— Wiecie, to wściekle irytujące — oświadczyła Hilda (sopran). — Powinni tu być. Wiedzą chyba, że zginęli, prawda?

— Nie trafiłyśmy chyba w niewłaściwe miejsce? — zaniepokoiła się Gertruda (mezzosopran).

— Drogie panie, zechcecie zsiąść z koni?

Obejrzały się. Siódma Walkiria dobyła miecza i uśmiechała się do nich.

— Co za bezczelność! Nie jesteś Grimhildą!

— Nie, ale sędzę, że mogłabym was wszystkie pokonać — stwierdziła Vena, zrzucając hełm. — Wepchnęłam ją do wychodka jedną ręką. Będzie... będzie lepiej, jeśli po prostu zsiądziecie.

— Lepiej? Lepiej niż co? — złościła się Hilda.

Pani McGarry westchnęła.

— Niż to...

Śnieg eksplodował staruszkami.

— Dobry wieczór, panienko! — zawołał Cohen, chwytając wodze rumaka Hildy. — Masz zamiar zrobić grzecznie to, o co ona prosi, czy mam zwrócić się do mojego przyjaciela Truckle'a, żeby ci to przekazał? Tylko że on jest trochę, no... nieuprzejmy.

— He he he!

— Jak śmiecie... — zaczęła Walkiria.

— Jestem zwykle dość śmiały, panienko. A teraz zsiadaj, zanim cię zrzucę!

— Wypraszam sobie!

— Przepraszam! Mogę? Przepraszam! — zawołała Gertruda. — Czy jesteście martwi?

— Jesteśmy martwi, Willie? — zapytał Cohen.

— Powinniśmy chyba. Ale ja tam nie czuję się martwy.

— Żaden żem martwy! — ryknął Wściekły Hamish. — Przywalę każdemu, co powie, żem martwy!

— To propozycja nie do odrzucenia. — Cohen wskoczył na konia Hildy. — Wsiadać, chłopaki.

— Ale... jeśli można... — nie ustępowała Gertruda, należąca do osób dotkniętych śmiertelną uprzejmością. — Miałyśmy przecież zabrać was do wielkich Hal Poległych Bohaterów. Jest tam miód, pieczone świnie i walki między posiłkami! Akurat tego chcieliście! Wszystko już nakryte, czeka!

— Tak? Dzięki, ale nie pójdziemy — zdecydował Cohen.

— Przecież tam właśnie trafiają polegli bohaterowie!

— Niczego nie podpisywałem.

Cohen spojrzał w niebo. Słońce już zaszło i pojawiały się pierwsze gwiazdy. Każda z nich jest światem, tak?

— Dalej nie chce pani do nas dołączyć, pani McGarry?

— Jeszcze nie, chłopcy. — Vena uśmiechnęła się. — Chyba nie jestem całkiem gotowa. Przyjdzie czas.

— Mądre słowa. Mądre słowa. No to my już pojedziemy. Mamy dużo do zrobienia...

— Ale... — Pani McGarry rozejrzała się wokół siebie. Wiatr nawiał śniegu

na... kształty. Tutaj z zasy sterczała głownia miecza, gdzie indziej wystawał ledwie widoczny sandał.

— Jesteście martwi czy nie? — zapytała wprost.

Cohen także się rozejrzył.

— No, tak jak ja to widzę... Naszym zdaniem nie jesteśmy, więc czemu ma nas obchodzić, co sobie myślą inni? Nigdy się tym nie przejmowaliśmy. Gotów, Hamish? W takim razie za mną, chłopaki!

Vena patrzyła, jak Walkirie — kłócąc się między sobą — wloką się z powrotem w stronę Góry. Potem czekała. Miała przeczucie, że wciąż jest na co.

Po chwili usłyszała rżenie kolejnego konia.

— Przyszedłeś zebrać plon? — zapytała.

JEST TO KWESTIA, W KTÓREJ WOLAŁBYM PANI NIE OŚWIECAĆ,
odparł Śmierć.

— Ale jesteś tutaj — stwierdziła Vena, choć teraz czuła się już bardziej jak

pani McGarry. Vena pewnie zabiłaby ze dwie z tych dziewczyn na koniach, by się upewnić, że pozostałe będą uważnie słuchać. Ale wszystkie wyglądały tak młodo...

JESTEM WSZĘDZIE, NATURALNIE.

Pani McGarry spojrzała na niebo.

— Za dawnych dni — powiedziała — kiedy bohater był prawdziwie bohaterski, bogowie umieszczali go wśród gwiazd.

NIEBIOŚCI SIĘ ZMIENIAJĄ. TO, CO DZIŚ WYGLĄDA JAK POTĘŻNY ŁOWCA, ZA STO LAT MOŻE PRZYPOMINAĆ FILIŻANKĘ.

— Nie wydaje się to sprawiedliwe.

NIKT NIE OBIECYWAŁ, ŻE BĘDZIE. ALE ISTNIEJĄ PRZECIEŻ INNE GWIAZDY.

* * *

U podnóża Góry, w obozie Veny, Harry rozpałił ogień, a minstrel usiadł i brzdąkał na lutni.

— Chcę, żebyś tego posłuchał — odezwał się po chwili i zaczął grać.

Pieśń trwała, jak się zdawało Harry'emu, przez całe życie. Kiedy przebrzmiały ostatnie nuty, otarł łzę.

— Muszę nad tym jeszcze trochę popracować — oświadczył minstrel w zadumie. — Ale chyba może być?

— Pytasz, czy może być? — zdziwił się Złowrogi Harry. — Czyli możesz ją zrobić jeszcze lepszą?

— Tak.

— No... to nie jest podobne do... do prawdziwej sagi — ocenił chrapliwym głosem Harry. — Ma melodię. Można ją nawet pogwizdywać. No, nucić. Znaczą, to nawet brzmi tak jak oni. Tak, jak by brzmiali, gdyby byli muzyką.

— To dobrze.

— Jest... cudowna.

— Dzięki. A jeszcze się poprawi, kiedy usłyszysz ją więcej ludzi. To muzyka do słuchania przez ludzi.

— I jeszcze... W końcu nie znaleźliśmy żadnych ciał, prawda? — przypomniał bardzo mały władca ciemności. — Więc oni mogą jeszcze gdzieś żyć.

Minstrel zagrał na lutni kilka nut. Struny zamigotały.

— Gdzieś — zgodził się.

— A wiesz, mały, nie wiem nawet, jak masz na imię.

Minstrel zmarszczył czoło. Sam już właściwie nie był pewien. Nie wiedział, dokąd wyruszy ani co będzie robił, ale podejrzewał, że życie od tej chwili może się stać o wiele ciekawsze.

— Jestem po prostu pieśniarzem — wyjaśnił.

— Zagraj to jeszcze raz — poprosił Złowrogi Harry.

* * *

Rincewind zamrugał, wytrzeszczył oczy, po czym odwrócił się od okna.

— Właśnie wyprzedzili nas jacyś ludzie na koniach — oznajmił.

— Uuk — odparł bibliotekarz, co prawdopodobnie oznaczało: Niektórzy z nas mają odloty i bez «Latawca».

— Pomyślałem sobie, że wam powiem.

Krążąc w chmurach spiralą, niczym pijany klaun, „Latawiec” wznosił się w kolumnie gorącego powietrza z dalekiego krateru. Była to jedyna instrukcja, jakiej udzielił im Leonard. Potem usiadł w tyle kabiny tak cichutko, że Marchewa zaczął się poważnie o niego martwić.

— Siedzi tam i tylko powtarza szeptem „dziesięć lat” i „cały świat” — zameldował po powrocie. — Jest w strasznym szoku. Cóż za przerażająca pokuta.

— Ale wygląda na zadowolonego — zauważył Rincewind. — I ciągle kreśli jakieś szkice. Przegląda też wszystkie obrazki, które robiłeś na księżycu.

— Biedny człowiek. Ta kara wpływa na jego umysł. — Marchewa pochylił się nieco. — Powinniśmy jak najszybciej dostarczyć go do domu. Jaki jest tradycyjny kierunek? Druga gwiazda na lewo i prosto aż do rana?

— Myślę, że jest to prawdopodobnie najgłupsza wskazówka astronawigacyjna, jaką kiedykolwiek przedstawiono — uznał Rincewind. — Będziemy się po prostu kierować na światła. Aha, i lepiej bądź ostrożny. Staraj się nie patrzeć z góry na bogów.

Marchewa skinął głową.

— Ale to trudne.

— Praktycznie niemożliwe — przyznał Rincewind.

* * *

W miejscu, którego nie ma na żadnej mapie, nieśmiertelny Mazda, dawca

ognia, leżał na swej wiecznej skale.

Po pierwszych dziesięciu tysiącach lat pamięć płata figle, więc nie był całkiem pewny, co zaszło. Zjawili się tu jacyś staruszkowie na koniach, którzy zjechali z nieba. Rozrąbali jego łańcuchy, dali się napić, a potem kolejno uścisnęli mu dłoń.

Później odjechali znowu, do gwiazd, tak szybko, jak wcześniej przybyli.

Mazda ułożył się we wgłębieniu kształtu swego ciała, jakie przez wieki wycisnął w kamieniu. Nie miał pojęcia, co to za ludzie, skąd się tu wzięli ani dlaczego wydawali się tacy zadowoleni. Pewien był tylko dwóch rzeczy.

Był pewien, że zbliża się już świt.

Był pewien, że w prawej dłoni ściska bardzo ostry miecz, który ci starcy mu podarowali.

Słyszał już, gdyż zaczynało się przejaśniać, uderzenia orlich skrzydeł.

Powinno być całkiem zabawnie.

* * *

W naturze rzeczy leży, że ci, którzy zbawiają świat przed pewnym zniszczeniem, nie otrzymują wielkich nagród. To dlatego, że pewne zniszczenie jednak nie miało miejsca i ludzie nie są przekonani, czy rzeczywiście było takie pewne, zatem stają się bardzo oszczędni, gdy chodzi o przekazanie bohaterom czegokolwiek bardziej materialnego niż pochwały.

„Latawiec” wylądował dość twardo na falistej powierzchni rzeki Ankh. I jak się to często dzieje z leżącą bez dozoru własnością publiczną, szybko stał się własnością prywatną wielu, bardzo wielu osób.

Leonard rozpoczął pokutę za swą zuchwałość. Spotkało się to z powszechną aprobatą miejskiego stanu kapłańskiego. Takie pokuty zachęcają do pobożności.

Vetinari zdziwił się więc, gdy odebrał pilną wiadomość już w trzy tygodnie po opisanych wydarzeniach. Ruszył natychmiast i wkrótce przeciskał się przez tłum przed Świątynią Bogów.

— Co się dzieje? — zapytał kapłanów zaglądających do środka przez uchylone drzwi.

— To jest... bluźnierstwo! — wyjaśnił mu Hughnon Ridcully.

— Dlaczego? Co takiego namalował?

— Nie chodzi o to, co namalował, panie. To, co namalował, jest...
zadziwiające. Ale on już skończył!

* * *

Wysoko na Górze, gdy nadeszły zamiecie, wciąż coś lśniło krwiście pod
śniegiem. Leżało tam przez całą zimę, a gdy dmuchnęły wiosenne wichury,
rubiny zamigotały w słońcu.

Nikt już nie pamięta pieśniarza. Pieśń wciąż żyje.

[top]

1 W porównaniu z takimi, na przykład, pszczołami republikańskimi, które zamiast się roić, obradują w komitetach, prawie cały czas spędzają w ulu i głosują za zwiększeniem ilości miodu. [^]

2 To znaczy tych wszystkich magów, którzy znali nadrektora Ridcully'ego i skłonni byli dać sobie przewodzić. [^]

3 Niewiele religii dokładnie określa rozmiar Niebios, ale na planecie Ziemia księga Apokalipsy (21- 16) podaje, że jest to sześcián o krawędzi długości 12 000 stadiów. To nieco powyżej 7 000 000 000 000 000 metrów sześciennych. Nawet uwzględniając założenie, że Hufce Niebiańskie i inne niezbędne służby zajmują połowę tej przestrzeni, i tak pozostaje prawie ćwierć miliona metrów sześciennych przestrzeni na każdego ludzkiego mieszkańca — przyjmując, że każde stworzenie, które można nazwać „człowiekiem”, zostanie tam wpuszczone i że ludzka rasa osiągnie łączną liczebność tysięcy razy większą niż liczba osobników żyjących do teraz. Tak rozległa przestrzeń sugeruje, że zagwarantowano też miejsce dla pewnych ras obcych, albo — radosna myśl — wpuszczane są zwierzęta domowe. [^]

4 Wiele obiektów wzniesionych przez architekta i niezależnego projektanta Bergholta Grimwalda (Bezdenie Głupiego) Johnsona zapisano w kronikach Ankh-Morpork, często w rubryce z nagłówkiem „Przyczyna zgonu”. Był on — jak zgadzała się większość — geniuszem, przynajmniej jeśli zdefiniować to słowo w sposób możliwie szeroki. Z pewnością nikt inny na świecie nie potrafiłby stworzyć mieszanek wybuchowej ze zwykłego piasku i wody. Dobry inżynier, jak zawsze powtarzał, powinien być zdolny do wszystkiego. I on w samej rzeczy był. [^]

